



WESÓLYCH ŚWIAT
i SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU
życzy wszystkim Czytelnikom
redakcja tygodnika „ŚWIAT”

DZIŚ 32 STRONY

Nr 52 (179/180) — Rok IV

W NUMERZE m. in.: M. Brandys — „Wyprawa do Oflagu” ●
M. Berezowska — Ilustracje do „Fraszek” J. Kochanowskiego ● J. Hen — „Boj”
● K. Korcelli — „Blask z oficyny” ● A. Rudnicki — „Niebieskie kartki” ●
J. Waldorff — „Z Heraklitem w Szczecinie” ● M. Żuławski — „Z listów do żony”

26 GRUDNIA 1954 — 2 STYCZNIA 1955

CENA 2 ZŁ





Fot. W. Sławny.

Fragment pomnika Mickiewicza w Paryżu, dłuta A. Bourdette'a

Rok MICKIEWICZOWSKI

26

LISTOPADA 1955 ROKU mija setna rocznica śmierci Mickiewicza. Wraz z Polską, po uchwałach Światowej Rady Pokoju i Zgromadzenia Ogólnego UNESCO, cały świat wchodzi w Rok Mickiewiczowski.

Pamięć największego polskiego poety uczymy nie tylko w chwili, gdy nakładami o niespotykanej dotąd wysokości rozpowszechniać się będą jego wiersze, zarówno w kraju jak i, dzięki starym i nowym przekładom, za granicą. W Krakowie, Poznaniu i Gdańsku staną pomniki Mickiewicza, a w Warszawie, gdzie pomnik Mickiewicza jest odbudowany, wzniesiony zostanie pomnik Słowackiego, bo Rok Mickiewiczowski — to Rok Romantyzmu. W teatrach ujrzymy obok Mickiewiczowskich „Dziadów”, „Kordiana” Słowackiego i „Nieboską komedię” Krasińskiego. Ujrzymy największe arcydzieła światowego romantyzmu: Słowackiego „Fantazy” pojawi się na pięciu scenach, na trzech scenach „Maria Stuart”, na dwóch — „Mazepa”, ponadto „Ballady na”, „Beatrix Cenci” i „Lilla Weneda”. Światowy repertuar romantyczny reprezentowany będzie przez Schillera „Zbójców” (trzy teatry), „Wilhelma Tellera”, „Marię Stuart” (dwa teatry) i „Intrygę i miłość” (trzy teatry), Wiktora Hugo („Ruy Blas”), Alfreda de Vigny („Chaterton”), Musseta („Nie igra się z miłością”), oraz przez jednoaktówki Teatru Klary Gazul Merimee’go i nieznanego, wczesnego melodramat francuskiego teatru bulwarowego, „Agrafkę” Beniamina Antier. Teatr romantyczny stanowić będzie główny akcent klasyki polskiej i obcej.

Obejrzymy wystawy malarstwa romantycznego, posłuchamy muzyki romantycznej.

Bliżej poznamy poezję Mickiewicza, walczącą o wolność. Stanie się ona nam bardzo bliska, gdy całą epokę walk narodowo-wyzwoleńczych uprzytomni nam trwająca cały rok 1954/1955 sesja naukowa, zwołana przez Polską Akademię Nauk. Zgromadzi ona uczonych z całego świata. Na ten zjazd uczeni polscy stawiają się z niepospolitym dorobkiem. Grunt wiedzy, to dokończone szesćciotomowe WYDANIE NARODOWE DZIEŁ ADAMA MICKIEWICZA, a ponieważ jest ono wyczerpane jeszcze przed zakończeniem, ukazuje się nowe JUBILEUSZOWE WYDANIE udoskonalone. Pojawiają się pomocnicze prace przeznaczone dla badaczy: 1) systematyczny wykaz wszystkich 16.000 razy wydrukowanych pism Mickiewicza, czyli BIBLIOGRAFIA MICKIEWICZOWSKA, zestawiona przez nieodżałowanego Aleksandra Semkowicza. 2) SŁOWNIK JEZYKA MICKIEWICZOWSKIEGO, opracowany przez prof. Konrada Górskiego i prof. St. Grabca. 3) SŁOWNIK OSÓB I MIEJSCOWOŚCI, ZWIĄZANYCH Z ŻYCIEM

I TWÓRCZOŚCIĄ A. MICKIEWICZA, opr. przez Leonarda Podhorskiego-Okółowa. Wszystko to niezależnie od monografii, rozpraw i referatów.

Nasza wiedza o Mickiewiczu poszerzyć się może wciąż wzbogacającym się wieloletnim dorobkiem tak zasłużonych badaczy, jak prof. Juliusz Kleiner, prof. Stanisław Pigoń, prof. Julian Krzyżanowski i dr Leon Płoszewski. Nasza „mickiewiczologia” wciąż przechodzi twórcze kryzysy i rozwija się. Ciekawe, że asumpt do tego wyszedł nie ze sfer uniwersyteckich, lecz przed wojną ze sfer literackich.

Poeta i krytyk Tadeusz Boy-Żeleński wystąpił z głośną akcją rewizjonistyczną, z której przeszły do mowy potocznej używane do dziś wyrazy „odklamać”, i „odbrzązować”, wymierzone w te interpretacje twórczości i życia Mickiewicza, które doprowadziły do oderwania poety od życia i rzeczywistości. Ponieważ przed wojną rozpoczął swą działalność mickiewiczologia, ustalając realia twórczości i biografii — poeta Leonard Podhorski-Okółow, akcja ta pozwoliła nam dojrzeć znacznie więcej realizmu w twórczości Mickiewicza i ułatwiła późniejszy przełom metodologiczny. Po wojnie poeci Mieczysław Jastrun, Julian Przyboś i Adam Ważyk wystąpili ze swymi pamiętnymi książkami. A krytycy literaccy Stefan Żółkiewski, Kazimierz Wyka, Wacław Kubacki i nieporównany przedstawiciel eseju naukowego Tadeusz Mikulski stali się profesorami uniwersytetów i wychowują już całe plejadi uczniów, pracowników naukowych Instytutu Badań Literackich. To daje pojęcie, ile zyskało na tym spojrzenie na Mickiewicza w okresie przełomu marksistowskiego w literaturoznawstwie.

Wzbogaca się stale nasz dorobek. Wzbogacony on zostanie jeszcze we współpracy z uczonymi zagranicznymi. Wzbogaci się on jeszcze więcej, gdy na sesjach naukowych ujrzymy całą epokę romantyzmu i rozległą problematykę walk narodowo-wyzwoleńczych tego okresu. Nie zapominajmy jednak, że aspekt naukowo-badawczy jest tylko jednym z aspektów Roku Mickiewiczowskiego. Oczekujemy bowiem w Polsce Międzynarodowego Zjazdu Poetów, który zapłodzi twórczość niejednego z nich, rozwoju polskiej współczesnej twórczości poetyckiej, dramatycznej, malarskiej, muzycznej „spod znaku Mickiewicza”. Oczekujemy także rozwoju ruchu amatorskiego i świetlicowego, akcji popularyzatorskiej i oświatowej.

O tych sprawach informować, o te rzeczy zatracając zamierza w Roku Mickiewiczowskim „Świat”.

ADAM MAUERSBERGER

SWIAT

NASZA KRONIKA

PEWIEN mój przyjaciel miał nieznośną i dokuczliwą żonę. Ale, jak wiadomo, przyroda stwarza choroby, stwarza i lekarstwa. Na ową żonę też miał mój przyjaciel lekarstwo. Gdy mu za wiele dokuczała, wsadzał ją w taksówkę i, nim się spostrzegła, zawoził na dworzec. Tam, wśród normalnego kolejowego zamieszania, wśród popychania spieszących się i wśród gwizdu pociągów żona przeistaczała się momentalnie w łagodną trusie. Atmosfera podróży rozbrajała sekutnicę, mąż tryumfował, górował nad żoną swym opanowaniem i spokojem.

Znam wielu ludzi, którzy — odwrotnie — ożywiają się na wieść o podróży. Znam kilku dziennikarzy i literatów, dostających wysokiej gorączki na wieść o możliwości wyjazdu za granicę! Pewien redaktor bardzo się na mnie obraził, gdy mu zwróciłem uwagę na konieczność załatwienia pewnej ważnej i pilnej sprawy. Okazałem się człowiekiem wybitnie nietaktownym. On udawał się do „Orbisu” celem załatwienia sprawy wyjazdu swojej ciociężnej babki na wczasy do Bułgarii.

Sam w ogóle nie lubię jeździć, ale to nie znaczy, bym moją niechęć na innych chciał przenosić. Przeciwnie, dobrze rozumiem znaczenie podróży, zwłaszcza podróży zagranicznych, które rozszerzają horyzonty, stykają człowieka z innymi narodami, z innym krajobrazem, z innymi obyczajami. To wszystko prawda. Nie mogę się tylko zgodzić z przekonaniem pewnych ludzi, że wyłącznie wyjazdy za granicę to jest coś ciekawego. Takiego wyrwywającego się za wszelką cenę do Bukaresztu, Sofii czy Tirany zapytałbym, co on wie o Warszawie i czy ją już dobrze zwiedził?

Błędne wydaje mi się przekonanie, że ciekawe i interesujące rzeczy dzieją się tylko tam, gdzie trzeba daleko jechać. Sądzę, że ciekawe rzeczy dzieją się wszędzie. Sądzę, że kto nie widzi tych ciekawych rzeczy u siebie w domu, ten ich nie zobaczy i w Pekinie, i w Londynie, i choćby kule ziemską objechał dziesięć razy naokoło.

WSZYSTKO to sprawa humanistycznego zainteresowania się człowiekiem i jego problemami. Mówi się wiele u nas obecnie o nudy, panującej w naszym życiu. Niezależnie od tysiąca win, jakie ponosimy w rozpanoszeniu się nudy w naszych miastach i wsiach, powiedzmy sobie, że życie nasze to w rzeczywistości prawdziwe zaprzeczenie nudy. W kraju naszym co minucie, co sekundę dzieją się rzeczy niezwykle interesujące, tylko trzeba umieć je znaleźć i zauważyć.

Oczywiście, bardzo to interesujące zwiedzać inne góry i morza, obce miasta i porty. Sądzę jednak, że samo takie oglądanie jest czymś bardzo jałowym, gdy nie weźmiemy pod uwagę człowieka. Oczywiście, coś niecoś o człowieku mówią jego dzieła. Ale przecież to, co wzniesiono w Polsce w przeciągu lat dziesięciu, mówi wiele o narodzie, a jakos jeszcze nie dotarliśmy do sedna sprawy, do uczuć i myśli człowieka — sprawcy owych potężnych dzieł.

Bierze się to stąd, żeśmy za łatwo chcieli o człowieku sądzić. Przemiany społeczne i gospodarcze wie-

le dokonały, ale na człowieku, na jego psychice, na jego uczuciach i przeżyciach nie odbiły się one w sposób bezpośredni. Przemiany gospodarcze rozwiązały wiele konfliktów społecznych, ale nie rozwiązały przecież i rozwiązać nie mogły wielu spraw ludzkich, arcy-ludzkich.

Czytałem niedawno garść listów pisanych przez młodych do „Standardu Młodych”. Oto i miłość zdradzona, oto i miłość niepewna swoich praw, i kalectwo, i ciężka choroba — i sto innych konfliktów, na które nie wolno odpowiadać, że nie istnieją, bo dokonaliśmy reformy rolnej, nacjonalizacji przemysłu, bo zbudowaliśmy władzę robotniczo-chłopską, bo przekształcamy oblicze wsi i budujemy socjalizm. Socjalizm budujemy, ale jednocześnie nie jeden chłopak rzuca swą dziewczynę w ciąży. Czy to znaczy, że wszystko już takie proste, bo dziewczyna idzie do Domu Matki i Dziecka i tam ma zastępczy dom i rodzinę? Budujemy socjalizm, ale przecież laseczniczki Kocha żrą jeszcze płuca niejednego człowieka w Polsce. I nie każdy jeszcze otrzymać może skuteczną, pełną pomoc przeciw śmierci.

ŻYCIE jest nudne wówczas, gdy zajmujemy się skrzętnie wybranymi zagadnieniami życia, wybranymi według własnej wygody, a nie życiem takim, jakie ono się toczy naprawdę, życiem pełnym wielu osobistych smutków, a nieraz tragedii, wielu walk i niepokojów, trudów i braków. Życie naszego narodu rozwija się w kierunku coraz wspanialszego rozkwitu i rozwoju. Czy to oznacza, że życie jednostek zawsze zgodne jest z barwą życia narodowego, że zawsze rozwija się pomyślnie, optymistycznie? Oczywiście, że nie.

Nasz czas wymaga od nas zrozumienia wielu rzeczy. Ale cóż, człowiek rozumieć może wiele, rozumieć może, że pod dom, w którym dla niego będzie mieszkanie, dopiero drążą wykopy na fundamenty, ale to nie znaczy, by z uśmiechem i z radością przyjmował swoją dzisiejszą mieszkaniową nędzę, nienajlepsze warunki bytu. W łonie socjalizmu dla wszystkich rośnie szczęście i dobrobyt. Ale nowy świat socjalistyczny nie rodzi się jak Atena z głowy Zeusa: dorosła i w pełnej zbroi. Świat socjalistyczny jak człowiek rośnie i rozwija się. Jak na historię bardzo szybko, jak na ludzkie niecierpliwe wymagania zbyt powoli.

Jedną z dysproporcji naszej epoki ta szybkość i ta powolność. Tę dysproporcję można zmniejszać, usuwając niejedno zło niepotrzebne, niejedno zło dające się uniknąć i usunąć zaraz, natychmiast.

DRUGA sprawa to mylne przekonanie, że socjalizm załatwia wszystkie sprawy ludzkie. To głupia odpowiedź, gdy ktoś dziewczynie płaczącej za kochankiem odpowiada:

— Zbudujemy socjalizm i to wszystko minie.

Nieprawda, nie minie. I na szczęście nie minie. Socjalizm stwarza warunki lepszego bytu ludzkiego. Tym samym życie ludzkie czyni lepszym. Tym samym lepszą czyni mi-

łość, łagodzi rozpacz, łatwiej pozwała zność tęsknotę. Ale i miłość, i żal, i tęsknota pozostają.

Popelnialiśmy i popelnialiśmy w rzeczywistości ten błąd, że staraliśmy się przedstawiać życie publiczne i pracę człowieka jako jedyne przeżycia człowieka w Polsce naszej epoki. Zachowywaliśmy się nieraz tak, jakby wszystkie inne sprawy ludzkie stanowiły coś bardzo wstydliwego, co już, już powinno zaniknąć. Byli tacy, co miewali bardzo zdziwione miny, gdy dowiadawali się, że poza referatami ludzie piszą jeszcze w Polsce listy miłosne, że się całują. Śmierć stawiała się sprawą niemal wstydliwą, bo czy to socjalizm powinien pozwalać na umieranie ludzi.

Z tego ograniczenia widzenia życia poczęła się nuda, jednostajność. Powiedzenie, że nie ma sprzeczności między socjalizmem a pełnią uczuć ludzkich — wyzwała wiele sił, obala wiele nieprawdy i dwulicowości. Socjalizm jest optymistyczny, ale to nie znaczy, że w socjalizmie nie ma nieszczęść, że nie zdarzają się katastrofy, że ludzie nie giną, nie cierpią, nie umierają. Z zetknięcia tego optymistycznego, socjalistycznego prądu historii z niejedną nędzą i nieszczęściem ludzkim wyrasta nowy obraz tego świata, który rodzi się w bólach, choć niesie radość.

TO prawda, podejście do życia nie od strony tylko ludzkiej pracy, ale również od strony ludzkich problemów, bólów i trudności, stawia wiele nowych zagadnień. Bo każdy człowiek staje się odrębnym zagadnieniem. Ale cóż, nie z jednakowych, idealnie obtoczonych przez fale morskie ziarenek piasku budujemy socjalizm, ale z ludzi, z których każdy inny, i w tej inności jego siła i jego wartość. Chciałoby się przemówić tak, by to wszystko stało się najlepiej zrozumiałe. Łatwo jest pisać tak, by trafiło do każdego? Jakże pisać, by wyrazić tę przyjacielską troskę o najbardziej poufne ludzkie sprawy?

Tego uczyć się trzeba. Uczyć się trzeba, że nie ma w każdym z nas dwóch ludzi: jeden ten pracujący i walczący, a inny ten prywatny, własny i osobisty. W socjalizmie mieści się cały człowiek — ze wszystkimi swymi sprzecznościami, człowiek nie zawsze uśmiechnięty.

JAKIEŻ to wspaniałe zadania, jaką podróż fantastyczna — ta wielka podróż wśród ludzi, podróż, którą odbywać powinniśmy nie bez celu, ale z celem: ażeby budować między ludźmi przyjaźń, prawdziwą socjalistyczną przyjaźń i bliskość we wszystkim, co w nas ludzkie.

Rozpoczynamy właśnie nowy etap najwspanialszej podróży. Podróż w czasie. Rozpoczynamy nowy rok, rok 1955. Niech tam się wesela w gronie swych rodzin, wśród przyjaciół ludzie szczęśliwi. Im ma kto życzyć wszystkiego co najlepsze. Tym przesyłam pozdrowienie. A serdeczne życzenia składam tym wszystkim, którzy są samotni, którzy nie znaleźli jeszcze szczęścia, którym się nie wiedzie, którzy jeszcze daremnie czekają na zdrowie, na miłość, na szczęście. Niech wiedzą, że mają przyjaciół.

Jak kielichem pełnym wina trącam się z nimi tą „Kroniką”. pełną wzruszenia.

JAN SZELĄG



Dnia 21 grudnia mija siedemdziesiąta piąta rocznica urodzin Józefa Stalina. Pamięć Jego żyje w sercach tych wszystkich, którzy realizują wielkie hasło: Pokój będzie zachowany i utrwalony, jeśli narody ujmą w swe ręce sprawę zachowania pokoju i będą broniły jej do końca.

BLASK Z OFICYNY

WNOCY z dnia 31 grudnia na 1 stycznia 1944 powołano do życia Krajową Radę Narodową. Działo się to, jak wiadomo, w Warszawie przy ul. Twardej 22. W sztuce mojej pt. „Dom na Twardej”, granej obecnie w Warszawie i gdzie indziej, odzwierciedla się niektóre echa owego historycznego posiedzenia — i tym sobie tłumaczę inicjatywę redakcji „Świata”, która zwróciła się do autora. Aby podzielić się z Czytelnikami pewnymi szczegółami i informacjami dotyczącymi odbicia w sztuce teatralnej owego historycznego zdarzenia.

Jaki zatem jest stosunek fikcji literackiej do materiału historycznego i którejdy przebiega linia dzieląca te dwie sfery? Jak i u kogo zbierałem materiały do kreślenia ludzi i zdarzeń w sztuce pokazanych? Jak przebiegał proces formowania materiału w kształt sceniczny sztuki?

Przede wszystkim wypada mi wyjaśnić, że sztuka już obiegła sceny kilku miast w Polsce i we wszystkich programach teatralnych pisałem, że „Dom na Twardej” nie jest właściwie sztuką o powstaniu Krajowej Rady Narodowej, mimo że akcja dzieje się w tym samym czasie i fikcyjni bohaterowie sztuki mieszkają pod określonym adresem: Warszawa, ul. Twarda 22. Skorzystałem tu z prawa, jakie przysługuje pisarzowi, do dowolnego określenia czasu i miejsca akcji. Ale ta „dowolność” nakłada na piszącego pewne obowiązki, jest związana z pewnym zamysłem literackim.

Rzecz zatem się dzieje w fikcyjnym mieszkaniu, kamienica jednak nie jest fikcyjna, była właśnie taka czynszówka w Warszawie (kamienica ta dziś nie istnieje, zniszczona przez wojnę), gdzie w prawej oficynie na drugim piętrze w noc sylwestrową 1943/4 roku dokonała się wielka sprawa: przez powołanie politycznej i demokratycznej reprezentacji narodu polskiego wyrwano ster z rąk sprawców klęski wrześniowej.

To sąsiedztwo historycznej oficyny z fikcyjnym mieszkaniem wymyślonym przez autora, sąsiedztwo w tekście sztuki ujawnione, ma wpływ na tok akcji, ciąży na atmosferze mieszczańskiego pokoju, przypomina w teatrze widzowi, że poza pokojem Jana Korbuta, ukazanym bezpośrednio na scenie, pracowały w kraju jeszcze inne siły społeczne, te, które dziś gospodarzą w Polsce.

A w pokoju Jana Korbuta? Właśnie to centrum uwagi autorskiej znalazło się to środowisko, które, niepomne klęski roku 1939, wciąż orientowało się na „Londyn”, ślepe i głuche na przemiany w kraju, wrogię rewolucji.

Ale poprzestać na ukazaniu jedynie tego środowiska nie wydało się autorowi słusznym: wtedy w obrazie ówczesnego życia polskiego byłby fałsz — zabrakłoby akcentu walki i nadziei, obraz byłby nieprawdziwy. I dlatego w akcie III sztuki grają echa odbywającego się właśnie posiedzenia KRN jako finał optymistyczny. Lecz posiedzenie to ukazane jest pośrednio, a raczej tylko zaszyfrowane dla wiadomości widza teatralnego; w ten sposób tok zdarzeń ukazanych przez sztukę, tok mroczny i posępny, przeświecony został pod koniec barwą jasną — to do mieszczańskiego pokoju domu na Twardej szedł blask z oficyny.

I jedynie w tym sensie, w ograniczonym zakresie można mówić o wątku KRN w sztuce pt. „Dom na Twardej”.

Skoro potrącił się już o nazwisko Jana Korbuta, zatrzymajmy się przez chwilę nad zagadnieniem zmyślenia literackiego w sztuce i autentyku, zarówno w stosunku do bohaterów jak i zdarzeń.

Otóż zasada, jaką się tu kierowałem, była następująca: wszystkie osoby występujące w sztuce, działające na scenie — są zmyśnione, wszystkie osoby, o których się mówi w toku sztuki — są autentyczne, noszą swoje prawdziwe nazwiska czy pseudonimy; to samo dotyczy na ogół zdarzeń, nawet drobnych.

Ta metoda, której się dość konsekwentnie trzymałem, pozwoliła mi z jednej strony na swobodne manewrowanie losami ludzi zmyślonych (nie chcę przez to powiedzieć: nieprawdziwych), z drugiej strony, osadzając ludzi i sprawy pod konkretnymi adresami, w konkretnych lokalach, w związku z autentycznymi zdarzeniami i datami — pozwoliła mi łatwiej organizować wyobraźnię widzów na rzecz partii fikcyjnych, przeświecić całość sztuki atmosferą autentyzmu, jakby relacji z życia niewymyślonej.

Jeśli kogo interesują przykłady, pozwolę sobie o niektórych szczegółach wspomnieć; pomijam tu, oczywiście, prawdomówność autorską w sprawach tak podstawowych, jak: daty dotyczące działalności PPR i Gwardii Ludowej, konkretne i ścisłe sytuacje na froncie wschodnim i zachodnim, okoliczności towarzyszące powstaniu KRN itp.

W akcie I jedna z postaci sztuki, niejaki Guccio, opowiadając i powołując się na różne machinacje niebieskich ptaków żerujących w czasie okupacji, wymienia autentyczne nazwiska i autentyczne zdarzenia; pada tam i nazwisko Wojciecha Brydzińskiego, tym razem w chlubnym kontekście, zgodnie z prawdą; znakomity nasz aktor rzeczywiście sprzedawał w czasie okupacji papierosy w kawiarni „Pod Znachorem”, aby nie służyć okupantom swoim talentem. Dużo podobnych przykładów mógłbym podać i z I aktu i II aktu, przejdę jednak od razu do aktu III, ponieważ tu najmocniej krzyżuje się sfera fikcji z autentycznymi szczegółami. W akcie tym, jak już mówiło się, odbywa się echa posiedzenia KRN — a każdy rys dotyczący tej sprawy domaga się szczególnej prawdomówności.

Nie tu miejsce mówić o znaczeniu, jakie dla losów narodu miało utworzenie w konspiracji KRN. Dla kompozycji mojej sztuki było końcowym światłem akcji. Ukazanie tej sprawy pośrednio i z oddalenia zwolniło autora od dramatycznego opracowania jej szczegółów, przebiegu, uchwał — szło tu o akcent ogólny. Mimo to w toku akcji padają dwa autentyczne pseudonimy: „Janowski” i „Kamiński” albo „Artur” — zdaje się, że wszyscy niemal widzowie w tych teatrach, gdzie sztuka szła, wiedzą, że prawdziwe nazwisko „Janowski” brzmi: Bolesław Bierut; przy sposobności podaje, że dwa następne pseudonimy oznaczają Kazimierza Mijała.

W toku sztuki do końca pseudonimy pozostały nie rozszyfrowane, ponieważ — zgodnie z kompozycją sztuki i zamierzeniem autorskim — sprawy personalne nie były tu najważniejsze — szło tu przeciw o rzecz najbardziej istotną, o akt walczącego ludu.

A teraz o szczegółach mniej istotnych i autentycznych.

Jeśli w sztuce pada nazwisko Blicharskiego, lokatora mieszkania w oficynie, gdzie odbyło się posiedzenie KRN — jest to nazwisko autentyczne; mówi się w sztuce, że dozorca domu przy ul.

Twardej 22 na dzień posiedzenia został upity, aby był głuchy i ślepy na to, co się w kamienicy dzieje — to jest szczegół prawdziwy; wspomina się w sztuce, że „Artur” przywiózł dorożką dywan, aby go rozesać w pokoju Blicharskiego celem zamaskowania przed sąsiadami z dołu odgłosu kroków ludzi zebranych na górze — szczegół autentyczny; jeśli w pewnym momencie akcji III aktu rozlegają się za oknami kamienicy strzały, alarm zresztą fałszywy, bo hitlerowcy strzelali na wiat, witając Nowy Rok — to i ten szczegół wydarzył się rzeczywiście w ową pamiętną noc; jeśli występujące na scenie postaci, Łada i Korbut, wspominają wielką obławę na Żoliborzu — kronika wypadków owej nocy potwierdza tę „japankę”; nawet tak drobna rzecz, jak zadymka, o której mówi się w salonie — również nie została wyssana z autorskiego palca, ale rzeczywiście dęła na ulicach Warszawy tej nocy.

Autentyzm niektórych zdarzeń jest głębszy: gdy np. w akcie III jedna z postaci sztuki, stary działacz i robotnik, Frankowski, mówi do Moniki te słowa: „Przywódcy naszej partii po kolei idą na śmierć, a przecież też mają serca ich bliscy...” — to nie są to tylko ładnie brzmiące słowa, patetyczny frazes — nie, pod nimi jest tekst bolesny i prawdziwy: zaledwie rok minął od śmierci sekretarza Komitetu Centralnego PPR Marcellego Nowotki, a zaledwie miesiąc, gdy w lochach gestapo znalazł się Paweł Finder i Małgorzata Fornalska, skąd już nie mieli wrócić.

Szkicowo i fragmentarycznie tylko tłumaczę tu, ile jest prawdy i zmyślenia w sztuce pt. „Dom na Twardej”. Ale ze „zmyśleniem” literackim też nie jest, jak wiadomo, sprawa prosta: np. postać Frankowskiego autor wymyślił i w usta jego włożył przed chwilą cytowane i wymyślane słowa...

Jak zbierałem materiały? Jak się kształtowała materia sztuki? Nie bardzo potrafię na to odpowiedzieć. W różnym czasie i nie z myślą o pisaniu sztuki rozmawiałem np. o KRN z niektórymi uczestnikami pierwszego posiedzenia na Twardej 22: z Władysławem Kowalskim, z Kazimierzem Mijałem, z Antonim Korzyckim.

Proces formowania się sztuki w głowie i na papierze jest, jak wiadomo, bardzo zawiły. Gdybym jednak jak najkrócej i w trybie nieco zwulgaryzowanym miał odpowiedzieć na pytanie: co mnie pchnęło do napisania tej właśnie sztuki, sztuki z czasu okupacji — odpowiedź brzmi: czytanie depesz w gazetach, depesz donoszących o próbie uzbrojenia neohitlerowskiego Wehrmachtu.

Chciałem przypomnieć sobie i innym ten czas przeklęty, gdy tenże Wehrmacht miał w ręku broń.

Przekonanie, że na straż wolności i życia człowieka stoją dziś te same siły, które już raz wytrąciły zbrodniarzom broń, nie zwalnia nikogo z nas od czuwania.

KAZIMIERZ KORCELLI



MARIAN BRANDYS

Rys. KAROL FERSTER

POD murem dawnego baraku XIII — któremu poświęciliśmy tyle czasu i słów — rozciąga się wąski zagon zachwaszczonego gruntu. Marian przygląda mu się przez chwilę, po czym klęka i zaczyna przeczesywać palcami wysokie bujne chwasty.

— Czego ty tam szukasz? — pytam zdziwiony.

— Kto wie, może rośnie tu jeszcze jakaś jeniecka rzodkiewka — nie przerywając poszukiwań odpowiada mój przyjaciel. — Przecież to są nasze stare działki. Trzeba być ostatnim tumanem, żeby tego od razu nie spostrzec.

Rzeczywiście, jak mogłem nie poznać! Pamiętam dokładnie dzień, kiedy, po wielu bezskutecznych podaniach polskiej komendy obozu, Lagerkommando zezwoliła wreszcie jeńcom na uprawianie miniatury działek. Jaka to była radość! Sądzę, że niejednego z „gefangenów” te maleńkie zagoniki uratowały od obłędu. Ja sam nie czułem specjalnego pociągu do rolnictwa i wzorem innych obozowych „intelektualistów” wypuszczałem swoją cząsteczkę działki w dzierżawę lepszym od siebie ogrodnikom. Ale ogromnie lubiłem tu przychodzić i przyglądać się kolegom w czasie ich pracy ogrodniczej. Było to jedyne miejsce w obozie, gdzie z twarzy ludzkich ustępował całkowicie wyraz bolesnego czujnego napięcia, tak charakterystyczny dla chorób drutów kolczastych. Przyglądałem się tu ludziom, o których w barakach mówiono, że byli chciwi, źli, swarliwi i niekoleżeńscy. W chwili, kiedy pochylali się nad delikatnymi listkami wschodzącej rzodkiewki lub nad świeżo zasadzonym krzaczkiem pomidora — ich zmęczone, zszarzałe twarze jaśniały najbardziej ludzkim wzruszeniem.

Na zdziczałym zagonie nie ma już jenieckich rzodkiewek. Marian podnosi się z kolan i otrzępuje spodnie. W oczach ma wesołe błyski.

— A „końską sprawę” pamiętasz?

Była to z pewnością najdziwniejsza i najzabawniejsza sprawa honorowa Oflagu IIc. Przedmiotem tej sprawy był — jak zawsze — dumny honor oficerski, ale przyczyna jej zrodziła się nisko przy ziemi i wiązała się ściśle z uprawą pomidorów i rzodkiewek.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że uprawa rzodkiewek i pomidorów wymaga środków użyźniających. W Oflagu IIc głównymi producentami i dostawcami środków użyźniających były dwa potężne konie rasy meklemberskiej, które każdego dnia, punktualnie o godzinie siódmej rano zajeżdżały z furgonem na śmiecie po odbiór obozowych nieczystości. Na pochwałę woldenberskiej organizacji i pruskiego „drillu” trzeba stwierdzić, że przy każdej bytności w obozie, „meklemburki” z chwytnością za serce uczynnością, pozostawiały po sobie odpowiadający ich rozmiarom ślad — tak upragniony przez naszych amatorów rolników. Całkowicie jeńców, uzbrojonych w szufelki i miotłki, oczekiwały każdego ranka na ten koński haracz. Wyznaczano nawet specjalnych dyżurnych obserwatorów i numerowane kolejki. Jednym

słowem — zgodnie z terminologią komunikatów wojennych Oberkommando der Wehrmacht — wszystko odbywało się „planmäßig”.

Ale pewnego dnia drobniaczko opracowany plan gospodarki nawozem naturalnym załamał się wskutek przypadku. Tego poranka z jakichś nieznanych przyczyn furgon na śmiecie przyjechał do obozu tak wcześnie, że wszyscy jeńcy, zapisani do „kolejki nawozowej”, spali jeszcze smacznie, marząc zapewne o oczekującym ich „przydziale”. Na pustym placu apelowym przechadzał się jedynie najbardziej ranny ze wszystkich rannych ptaszków obozowych — major dyplomowany W., cierpiący od wielu lat na chroniczną bezsenność. Temu to oficerowi przypadła w udziale rola udokumentowania przed światem głębokiej prawdy przysłowia „kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”. Przed zdumionymi i uradowanymi oczami samotnego spacerowicza rozegrał się wspaniały akt szczodrobliwości jednego z meklemberskich rumaków. Ze zwycięskim okrzykiem skoczył major W. w stronę nieoczekiwanej zdobyczy. Ale stanawszy nad nią zadrżał i jęknął z głębi serca. Cóż za dramatyczny spłot okoliczności! O krok od niego leżał prawdziwy skarb, a on nie miał w co go zabrać, gdyż szufelka i miotłka pozostały w oddalonym o jakieś sto metrów baraku.

Strapiony oficer popadł w rozterkę, przy której niczym były kłopoty Hamleta. Ale od czego ma się dyplomowany umysł! W nagłym natchnieniu major W. wyciągnął z kieszeni portfel, a z portfela pięknie litografowany bilet wizytowy. Po czym ruchem tak dystyngowanym, jakby miał przed sobą srebrną tacę w hallu jednej z zagranicznych ambasad — wetknął wizytówkę w dymiący stosik meklemberskich produktów. Po dokonaniu tego wyczynu pomysłowy sztabowiec popędził wyteżonym kurcgalopkiem do swego baraku, aby najszybciej doprowadzić do końca tak genialnie rozpoczęte dzieło.

Kiedy jednak w pół minuty później, zaopatrzone w cały potrzebny sprzęt, wybiegł z baraku — z piersi jego wydarł się okrzyk rozpacz. Dostrzegł z daleka, że ubiegła go konkurencja. Jakiś młody podporucznik kończył właśnie zagarnianie na swoją szufelkę jego wspaniałego łupu.

— Panie poruczniku! — ryknął dotknięty do żywego dyplomowany sztabowiec. — Niech pan nie rusza! To moje!

— Po pierwsze nie pańskie, tylko końskie! — odwrzucił równie zuchwały, co cyniczny młokos.

— Tak, końskie! — zawył major — Ale... ale tam jest... mój bilet wizytowy!

— Panie majorze — odparł nie zbity z tropu podporucznik — trudno ode mnie wymagać, żebym podnosząc z ziemi byle g... szukał w nim wizytówek oficerów sztabowych.

Wywiązała się z tego monstrualna, niekończąca się sprawa honorowa. Trzeba przyznać, że tej sprawy nawet najzarliwsi egzekutorzy kodeksu

Boziewicz nie traktowali całkowicie poważnie. Między zastępcami stron dochodziło do częstych starć słownych, które w następstwie prowadziły do nowych targów honorowych. W rezultacie „końska sprawa” ogarnęła cały obóz i było z niej zabawy na pełne dwa lata.

Ach, te woldenberskie sprawy honorowe! Cóż to był za śmieszny, jedyński w swoim rodzaju, dziwoląg!

Ogromna większość jeńców woldenberskich, rekrutująca się z oficerów rezerwy, a więc z zakutych cywilów — przed wojną nie miała w ogóle pojęcia o średniowiecznym rytuale obrony tzw. „honoru oficerskiego”. Ale wkrótce po zorganizowaniu w obozie „Oficerskich Sądów Honorowych” wyuczulenie na honor wzrosło wśród jeńców do tego stopnia, że można je było śmiało porównywać z drażliwością honorową Trzech Muszkieterów ze sławnej powieści Aleksandra Dumasa.

W klatce z drutu kolczastego, jaką był obóz, w atmosferze ogólnego wycieńczenia i rozdrażnienia nerwów — samo przez się anachroniczne „postępowanie honorowe” nabierało cech wręcz karykaturalnych. Ale w Oflagu IIc sprawy śmieszne spotykały się zaw-

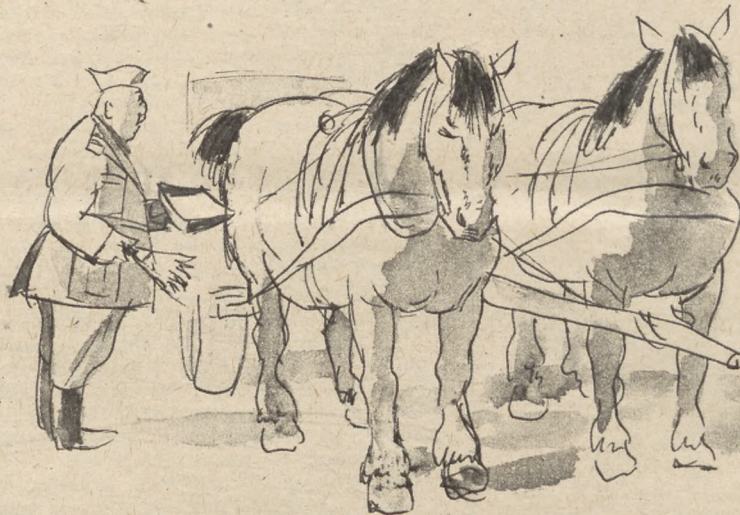
Obserwowałem ten ciągle pogłębiający się upadek w czasie apeli porannych i poobiednich spacerów na placu apelowym. Dorodny, butny ułan zmieniał się w moich oczach w zaniechanego oklapłego „gefangena”, a wspólne nam wszystkim przeżycia i cierpienia znały jego tak gładką niegdyś twarz coraz żałośniejszym piętrem.

Nie znałem go osobiście, ale jak opowiadali mi później koledzy, główną przyczyną jego dramatu był jednak głód. Głód, zgodnie z przysłowiem, jest dobrym kucharzem, ale potrafi być także bardzo złym doradcą w sprawach honorowych. Pod wpływem głodu podporucznik B. dopuścił się czynu niegodnego. Pozostawszy jako dyżurny sam w baraku, w czasie apelu wieczornego ukradł z półki kolegi dwudziestogramową porcję margaryny. Ukradł i zjadł.

Sprawa wyszła na jaw. W każdym innym baraku to na wskroś obozowe przestępstwo, z wyraźnym stemplem choroby drutów kolczastych, znalazłoby dla siebie jakieś koleżeńskie rozwiązanie. Ale podporucznik B. mieszkał w arystokratycznym „baraku kawaleryjskim”, gdzie sprawy oficerskiego honoru sądzone były szczególnie surowo.

Sprawa powędrowała do „Oficerskiego Sądu Honorowego”. Kolegium tego sądu, pod przewodnictwem jednego z bardziej znanych oficerów sancyjnych, przebywającego obecnie na Zachodzie, pułkownika St., po przeprowadzeniu drobiazgowego postępowania, wydało wyrok, skazujący podporucznika B. na najsurowszą z możliwych kar — na wykluczenie z Korpusu Oficerskiego.

Gdyby podporucznik B. był oficerem rezerwy, luźno i epizodycznie związanym z wojskiem, lub gdyby przynajmniej zdawał sobie sprawę z tego, że szalejąca za drutami naszego obozu bu-



rze ze sprawami poważnymi, a błazeńska groteska ocierała się o głęboki dramat ludzki.

Takim ludzkim dramatem była sprawa honorowa podporucznika B.

Kiedy podporucznika B. spotkałem po raz pierwszy, w czasie leśnej koncentracji przed decydującą dla nas bitwą pod Wolą Gułowską, był to wspaniały młody oficer kawalerii, dopiero co wypuszczony ze szkoły oficerskiej. Przed wojną takich młodych dziarskich junaków nazywano „pistoletami”. Podporucznik B. był prawdziwym „pistoletem”. Wysoki, zgrabny blondyn o pięknej białoróżowej twarzy, nie zniszczonej nadmierną pracą intelektu — przedstawiał sobą niemal żurnalowy wzór przedwojennego ułana. Należał do tych wybrańców, którym koledzy i przełożeni przepowiadali przyszłość generała. Ale historia nie pozwoliła podporucznikowi B. zostać generałem. Po bitwie pod Wolą Gułowską dostał się do niewoli niemieckiej i niedługo potem zamknięto go za drutami Oflagu IIc.

Trudno mi powiedzieć, czy podporucznik B. rzeczywiście miał dane na to, by kiedyś zostać generałem — ale mogę stwierdzić z całą pewnością, że na jeńca wojennego nie nadawał się zupełnie.

Stały nacisk drutów kolczastych na nerwy, stały brak odżywczych kalorii w stosunkowo krótkim czasie doprowadziły byłego „pistoleta” do zupełnej ruiny.

rze dziejowa w znacznym stopniu utrudni wykonanie wyroków samosądzących sądów jenieckich — wówczas z pewnością zniósłby ciężar nawet tak surowego wyroku.

Ale podporucznik B. był młodziutkim, nie za bardzo rozumnym „pistoletem”, dopiero co wypuszczonym ze szkoły, który nie wyobrażał sobie życia poza wojskiem, a Oficerski Kodeks Honorowy uważał za niewzruszalne prawo swej kasty. Dla podporucznika ułanów, który chciał zostać generałem, wykluczenie z Korpusu Oficerskiego było skazaniem na śmierć cywilną.

Z głębokiej ludzkiej rozpacz, a także z przyrodzonej „pistoletom” pogardy dla rzeczy cywilnych, młody oficer postanowił uciec od śmierci cywilnej w śmierć jeniecką. Wybrał sposób naj-



JEAN
RENOIR



FILMY
I SŁOWA

JEAN RENOIR, URODZONY WE WRZESNIU ROKU 1894, SYN MALARZA - IMPRESJONISTY, AUGUSTA RENOIR, JEDEN Z CZŁOWYCH FRANCUSKICH REŻYSERÓW FILMOWYCH, OBCHODZI W TYM ROKU DWIE ROCZNICE. UKOŃCZYŁ SZESZCZDZIESIĄT LAT ŻYCIA, A W MAJU MINĘŁO TRZYDZIESCI LAT PRACY ZAWODOWEJ, LICZĄC OD DNIA PREMIERY W ROKU 1924 JEGO PIERWSZEGO FILMU — „PANNY WODNEJ” (LA FILLE DE L'EAU).

O DRODZE ŻYCIOWEJ I TWÓRCZEJ WYBITNEGO REŻYSERA FRANCUSKIEGO, O OBLICZU JEGO SZTUKI — PISZEMY NA STRONACH 20—21.

prostszy i najbardziej banalny. Pierwszej nocy po ogłoszeniu wyroku Sądu Honorowego wymknął się z baraku i rzucił się na naelektryzowane druty.

Na jego nieszczęście (podkreślam: na, jego nieszczęście) tej nocy na wieżach strażniczych pełnili służbę jacyś ludzcy wartownicy, którzy nie zastrzelili kandydata na samobójcę — jak to bywało w zwyczaju — lecz zaalarmowali jego kolegów. Podporucznika B. uratowano.

Obóz bardzo się tym zdarzeniem przejął. Wprawdzie „honor oficerski” jako „imponderabilium” był artykułem trudnym do zważenia — lecz zgodnie uznano, że życie ludzkie nawet w „czasach pogardy” powinno ważyć więcej niż dwudziestogramowa kostka margaryny.

Ale pułkownik St., którego ponownie wybrano na przewodniczącego kolegium sądowego, miał inny pogląd na wagę życia ludzkiego. Podporucznik B., po powtórным rozpatrzeniu jego sprawy przez Oficerski Sąd Honorowy, został po raz drugi skazany na wykluczenie z Korpusu Oficerskiego.

Po drugim wyroku zaczęto podporucznika B. pilnować, by — o ironio! — nie zrobił sobie czegoś złego. Czy można jednak upilnować człowieka, który naprawdę chce odejść z tego świata? Drugiej czy trzeciej nocy, kiedy cały barak spał, podporucznik B. powiesił się w barakowej umywalni.

Ale jego młode ciało — mimo zniszczeń poczynionych w nim przez niewolę — twardo broniło się przed śmiercią. Rankiem koledzy odcieśli wisielca i przywrócili go do życia.

W obozie się zagotowało. Wojna oswoiła nas z najokropniejszymi gwałtami, ale tego gwałtu nie mogliśmy znieść. Nie mogliśmy się zgodzić na to, żeby w naszych oczach dorzynano, jak barana, chorego, obłąkanego człowieka — naszego kolegę. Ruszyły delegacje do wszystkich możliwych instancji obozowych. Dwóm stronnictwom, walczącym o wpływy w obozie, zależało na zjednaniu sobie opinii publicznej. Dlatego sąd w sprawie podporucznika B. ukonstytuował się po raz trzeci.

Ale nie doceniliśmy potęgi praw rządzącej nami kasty. Przewodniczącym nowego sądu został po raz trzeci pułkownik St. i pułkownik St. po raz trzeci skazał podporucznika B. na wykluczenie z Korpusu Oficerskiego.

Podporucznika B. nie upilnowano i po trzecim wyroku. Kilka minut odosobnienia w barakowym ustępie wystarczyło mu całkowicie na poderżnięcie sobie gardła brzytwą. Tym razem nie zdołano już go uratować. Kasta oficerska w ostatniej chwili okazała samobójcy wspańiałości. Podporucznika B. pochowano z honorami wojskowymi. Honorowi oficerskiemu i tak stało się zadość.

DALSZY CIĄG NASTĄPI



Z ZAPARTYM TCHYM



NIE MA wdzięczniejszego widza teatralnego, niż dziecko. O ile dorosły zazwyczaj pamięta o tych czy innych umownych cechach przedstawienia teatralnego — to dziecko bez reszty włącza się w nurt akcji scenicznej i przeżywa ją w sposób najbardziej bezpośredni.

Fotoreporter „Świata” wybrał się na przedstawienie w warszawskim teatrze młodzieżowym „Kleks” i zajął się nie sceną teatru, ale jego widownią. Zainteresowanie młodocianych widzów przedstawieniem było tak duże, iż mógł robić zdjęcia zupełnie niepostrzeżenie. Być może fotoreporter okazał się trochę niedyskretny (np. paluszki w buzi), ale wierzymy, że sfotografowani widzowie nie będą mieli do niego o to pretensji...

Zdjęcia: JAN KOSIDOWSKI

Na twarzyczkach młodocianych widzów maluje się cała gama szczerých, głębokich uczuć: od zmartwienia i troski — do radości...



Przedstawienie tak bez reszty pochłania uwagę dzieci, że zapominają one czasem o przestrożach mamy — na temat palca w ustach, zjadania jablek w czasie przedstawienia i tym podobnych. Ale przecież zapominają się nieraz i starsi.





MIROSLAW
ŻULAWSKI

Z LISTÓW DO

Sam-Son, 27 października

KOCHANIE, piszę do Ciebie znad morza, gdzie przybyliśmy przed kilku dniami, by spotkać się z transportami wojsk ewakuowanych z południa. Jest to miejscowość świeżo wybudowana z bambusów na piasku, wśród pini, zupełna Leba. Mieszkamy w dużym, ażurowym domu o wielkiej strzesze z liści palmy, o podłogach wyścielonych matami, bez drzwi, ale za to o bardzo pięknych oknach z bambusowych prętów, bez szyb oczywiście. Śpię na łożu z bambusowych prętów, okropnie twardych. Ale wczoraj spałem jeszcze twardej, bo na ołtarzu przodków we wsi o 35 km odległej. Zupełnie tu nie znają zwyczaju podścielania pod siebie czegoś miękkiego. Co rano wstawiamy obolali, czując każdą kosteczkę z osobna. W nocy trzeba bez ustanku przewracać się z boku na bok, bo ta strona ciała, na której się leży, poczyną boleć.

Plaża w Sam-Son uchodzi za jedną z najładniejszych w tej części kraju. W rzeczywistości jest niemal brzydka. Mały skrawek brudnawego piasku, nagie, obłe skaliska na prawo, piniowy, nędzny laszek na lewo. Morze wcale nie niebieskie, tylko żółtawo-zielone. Bardzo ciepłe i tak słone, że kąpiel w nim nie sprawia żadnej przyjemności. Jest tak gęste, że pływa się w nim jak w smołe. Usiłowałem dopłynąć do skał i wspiąć się na nie. Ale są pokryte muszelkami ostrymi jak żyłki. Przy pierwszym dotknięciu pokrajałem sobie do krwi opuszki palców obu rąk tak, że przez dwa dni nie mogłem pisać na maszynie.



Przed paru dniami przybył tu pierwszym rejsem polski s/s Kiliński. Ewakuuje on wojska WRD z portu Qui Nhon na południu. Oczywiście tego samego dnia wziąłem sampang i kazałem podwieźć się do statku. Stał on daleko na redzie. Sampang płynął rzeką aż do jej ujścia, później dryfował na morzu z prądem ku statkowi. Cała operacja trwała półtorej godziny. Na „Kilińskim” przyjęto mnie bardzo serdecznie. Zapytano od razu, czy nie chcę wysłać do Ciebie depeszy. Oczywiście chciałem. Asystowałem przy wyładunku wojsk na barcę. Z wojskami wróciłem na ląd.

Odbyłem stąd dwudniową wycieczkę do wsi Chi-Can, gdzie przebywają więźniowie zwolnieni z Paulo Condor na mocy postanowień genewskich. Nasłuchałem się okropności. Rozmawiałem z człowiekiem, który na śledztwie odgryzł sobie język, żeby nic nie mówić.

Panuje tu teraz piękna, sucha pora. Od tygodnia nie spada kropla deszczu. Upały jak u nas w najgorętsze dni lipca. Jak tylko człowiek znajdzie się na słońcu, natychmiast odczuwa straszną potrzebę cienia. A Wietnamczycy podarowali nam po welnianym szalik, bo powiadają, zima idzie.

Wczoraj jeździłem do Bai Thuong, gdzie jest wielka zaporą wodna, zniszczona bombardowaniami francuskimi, a obecnie odbudowywana. Ta okolica leżała w strefie wolnej. Francuzi nigdy do niej nie dotarli. Jechałem przez okolice, nawiedzone we wrześniu straszną powodzią. Groble pozrywane, ryżowiska poniszczone, wsie, których dachy niedawno jeszcze ledwie wystawały ponad wodę. Wszędzie typowy krajobraz niskich rejonów: błyszczące od wody ryżowiska poprzecinane grobelkami, wsie wśród gęstwy palm i bambusów, stada białych czapli wśród ludzi pracujących na polu. Drogi są tu bardzo złe. Do zawieszania broni były poprzecinane poprzecznymi rowami, aby jednostki zmechanizowane nieprzyjaciela nie mogły się nimi posuwać. Obecnie rowy są jeszcze kiepsko zasypane. Jedzie się na niektórych odcinkach poniżej 20 km na godzinę, na dobrych nie więcej niż 40.

We wsi, w której mieszkamy, jest bardzo dużo ślicznych, brązowych dzieci. Chłopcy biegają przeważnie nago, dziewczynki są zawsze ubrane w czarne spodnie i rudawe kaftaniki. Niestety widzi się masę dzieci o chorych oczach. Trachoma jest bardzo rozpowszechniona w okolicach nadmorskich. Śmiertelność dzieci jest w ogóle duża, przede wszystkim na skutek malarii. 60 procent śmiertelności wśród nie-

nowlat przypisuje się właśnie kłesce paludyzmu. Jest tu z nami minister pracy WRD wraz z żoną i małym synkiem. Dziecko często płacze. Okazuje się, że ma malarię.

Podstawą kuchni tu nad morzem i rzeką są kraby i krewetki. Łowi się je nie tylko na morzu i rzece, ale także w stojącej wodzie ryżowisk. Obok ryżu stanowią one nasze żelazne menu. W czasie posiłku stoi nad każdym z nas chłopiec i wachlarzem odgania muchy. W ogóle robią sobie z nami bardzo wiele kłopotu. Zostało nas już tylko czterech: dwóch Rosjan, Czech i ja. A tak rozbijamy się co dzień na dwie grupy, by nie oglądać tego samego.

Codziennie jesteśmy zaskakiwani przez zmierzch. U nas od zachodu słońca do zapadnięcia ciemności upływa trochę czasu. Tu o piątej trzydziści jest jeszcze jasno, słońce świeci nisko, a o szóstej panuje już najczarniejsza noc, wśród której mimo wspaniałych gwiazd nic nie widać. Zaraz też zaczynają szaleć świerszcze. W barakach rozlega się śpiew. Nie wiem skąd zawędrowała tu piosenka „Szła dziewczynka do laseczka”, dość, że śpiewają ją co dzień.

Mieliśmy tu wizytę polskich marynarzy z „Kilińskiego”. Czegoś takiego jeszcze tu nie widziano. Roznieśli wszystko w puch. Dziewczeta wietnamskie tańczyły mazurę, a starzy Wietnamczycy aż się popłakali ze wzruszenia. W tej chwili Polacy są tu najpopularniejszym narodem świata. Wystarczy, kiedy tłumacz wskazując na mnie powie „Ba-Lan”, a urządza się owacje.

Pisząc ten list sięgam co chwila po wachlarz i wachluję się, bo jest wściekle gorąco, mimo że wieczór na karku. Popijam sobie kokosowe mleko. Musisz bowiem wiedzieć, że typowa wieś wietnamska posiada cztery czy pięć gatunków palm. Więc najpierw krótkie i grube palmy gatunku „latanier”, których liście służą do pokrywania strzech i do wyrobów koszykarskich. Helmy, jakie nosi armia wietnamska, oraz wszelkie maty, wyrabiane są z liści tych właśnie palm. Dalej araukarie, które są najpiękniejsze, najwyższe i najsmuklejsze. Ich orzeszki stanowią część betelu. Następnie bananowce, które rosną wokół chat, jak u nas wierzby. Kokosowe palmy są grzywiaste i ze wszystkich najpotężniejsze. Za to papaje są delikatne i drobne, aż dziw, że mogą rodzić takie duże owoce. Po wsiach widzi się również często wspaniałe figowce. Są to olbrzymie drzewa, większe

Niebieskie kartki

SPADAJĄCE SŁOŃCE



od naszych stuletnich dębów. Figurki są uważane za święte, chaty i pagody buduje się najchętniej w ich cieniu.

Bambus to król, a palma to królowa tego kraju. Domy, sprzęty, przedmioty codziennego użytku, wszystko niemal, czego człowiek używa, wykonane jest z pni bambusa lub liści palmy. Nawet krótkie pelerynki, jakie wieśniacy tutejsi nakładają na nagie plecy dla ochrony przed słońcem i deszczem — zrobione są z palmowca. Na matkach się śledzi, na matkach się śpi, maty zawieszają się pod dachem z palmowych liści dla ochrony przed przeciekającym deszczem. Na drogach większość spotykanych mężczyzn i kobiet niesie na barkach dwa kosze z palmowca, na elastycznej jak stal bambusowej żerdzi. Charakterystyczne wietnamskie kapelusze w kształcie stożka, będące właściwie parasolami chroniącymi od słońca i deszczu, wyplecione są z liści palmy. Czerpaki do wody, kosze na ryż, pałeczki do jedzenia, zapalniczki — nawet papier gazetowy zrobione są z palmy lub bambusa. Tak samo sampangi. Nie widzi się tu natomiast zupełnie wozów. Wszelkie ciężary przenosi człowiek. Poczciwy, szary bawół służy do pracy rolnej. Koni nie widziałem nigdzie. Krowy są maleńkie i zupełnie niepodobne do naszych. Mają garb barkowy podobny do żubrów. Dziwna rzecz: wieś tuż obok nie produkuje zupełnie masła, mleka, serów. Masło, które czasem dostajemy, pochodzi z puszek duńskich. Mleko wyłącznie kondensowane. Bydło używane jest do prac pociągowych, oraz hodowane na mięso. Dlatego w stadach ilość krów w porównaniu z bykami, wołami i bawołami jest znikoma.

Wpływ konfucjanizmu na obyczaje wsł — jest ogromny. Nigdzie nie widziałem częstego u nas obrazka, kiedy wieczorem chłopiec przechadza się z dziewczyną, lub też rozmawia z nią w opłotkach. Stosunki między młodzieżą męską a żeńską nacechowane są jak najdalej idącą dyskrecją, aż nienaturalną dla naszego, bardziej swobodnego oka. Musi tu być jednakowoż jakiś sposób na załatwianie tych spraw, bo dzieci jest niestychane mnóstwo.

Notuję Ci tu te pierwsze powierzchowne wrażenia. Jutro wyjeżdżamy na południe, w okolice 18 równoleżnika. Stamtąd napiszę Ci znów.

PIĄTEGO sierpnia 1945 roku (około północy*) spiker rozgłośni radiowej w Hiroshimie oznajmił, że blisko dwieście superfortec B-29 zbliża się do południowego Honszu i doradzał ludności ewakuację do wyznaczonych „rejonów bezpieczeństwa”. Ze wszystkich ważniejszych miast Japonii tylko Kioto i Hiroshima nie zostały jeszcze bombardowane superfortec B-29 startujących z wyspy Saipan zwanych przez Japończyków B-san, czyli pan B. Mieszkańcy Hiroshimy słyszeli o masowych nalotach pana B. na miasto Kure, Iwakuni, Tokujamę i byli przygotowani na to, że wreszcie przyjdzie kolej i na ich miasto. Chorzy ze strachu mieszkańcy Hiroshimy zbiegli do schronów. Alarmy tej nocy powtórzyły się jeszcze kilka razy. Od wielu tygodni alarmowano Hiroshimę prawie co noc. Częstość tych alarmów oraz upór, z jakim Amerykanie omijali Hiroshimę, dezorientowały jej mieszkańców. Szóstego sierpnia nad ranem miasto Hiroshima stało się jednym z najgłośniejszych miast w historii nowoczesnej. Samo miasto przestało prawie istnieć. Zmieniło się w „pojęcie geograficzne”. „Warszawa przestała istnieć, pozostała pojęciem geograficznym” — pisali hitlerowcy w styczniu 1945, gdy opuszczali Warszawę.

Szóstego sierpnia o godzinie ósmej rano lekarz japoński nazwiskiem Fudzi siedział u siebie na werandzie zajęty czytaniem gazety „Asahi”, wychodzącej w Osaka. Nagle potężny rozblysk światła przeciął niebiosy. Pozostali przy życiu opowiadali potem, że mieli takie wrażenie, jak gdyby się płyta słońca oderwała. Nikt z pozostałych przy życiu nie zapamiętał żadnego hałasu. Ponieważ doktor Fudzi siedział odwrócony od światła, blysk wydawał mu się rażąco żółty, jak światło magnesji. Doktora Fudzi coś rzuciło naprzód, określiło i przewróciło. Coś go szturchnęło i przygniotło. Nie miał nawet czasu pomyśleć, że umiera, gdy poczuł się w wodzie ściśnięty dwiema długimi belkami, niby kasek uwieszony między dwiema olbrzymimi pałeczkami, jakie Chińczycy używają do jedzenia. Trzymały go one w pozycji pionowej tak, iż nie mógł się ruszać. Głowa jakimś cudem sterczała nad wodą, lecz tułów i nogi były w wodzie. Dookoła na wodzie unosiły się szczątki jego kliniki. Okropnie bolało go lewe ramię.

Szpital doktora Masakazu Fudzi nie znajdował się już nad brzegiem rzeki — leżał w rzece. Doktor nie mógł wykonać żadnego ruchu. Wisiał tak w mroku poranka może ze dwadzieścia minut. Nagle przyszło mu na myśl, że wkrótce nastąpi przypływ i zaleje go. Ta myśl pobudziła go do działania.

W białiznie, brudny i mokry znalazł się wreszcie nad brzegiem. Z głębokich ran na plecach i brodzie sączyła się krew. Doktor powłókł się naprzód. Na moście spotkał przyjaciela, również lekarza, i spytał go: „Jak się koledze wydaje, co to mogło być?” „To był chyba Molotoffano hanakago” — odparł przyjaciel. Molotoffano hanakago — znaczy kosz z kwiatami od Molotowa.

Zrazu doktor Fudzi zauważył tylko dwa pożary. Jeden po tej stronie rzeki, gdzie był jego szpital, drugi nieco dalej ku południowi. Jednocześnie obu przyjaciół uderzyło co innego, jakkolwiek pożarów było niewiele — przez most przewalały się tłumy poparzonych. Niektórzy z tych nieszczęśliwców demonstrowali ohydne oparzeliny na twarzach i na ramionach. „Z czego te oparzenia?” — pytał doktor Fudzi. „Prawdopodobnie to wszystko wzięło się od bomby, od „koszyka Molotowa”.

Przedtem nie czuło się żadnego wiatru, teraz dęły ostre wiatry. Nowe pożary wybuchały nie wiadomo skąd i szybko się rozszerzały. Groźne fale rozgrzanego powietrza oraz strugi sadzy rozdzieliły przyjaciół. Doktor Fudzi zbiegł do wody pod mostem, gdzie schroniło się może ze dwadzieścia osób. Wkrótce żar stał się tak dokuczliwy, że Fudzi wszedł do rzeki, żeby przeczekać, aż ogień ustanie.

Los, jaki spotkał doktora Fudzi i jego kliniki, był udziałem większości lekarzy i klinik hiroshimskich. Szpitale i kliniki leżały w gruzach, narzędzia były porozrzucone na cztery wiatry. Do tych nielicznych klinik, które ocalały, zaczęły napływać tysiącami ofiary. Chorzy leżeli lub siedzieli skuleni na podłodze sal, laboratoriów i pozostałych pomieszczeń, na korytarzach, na schodach, na podjeździe i na dziedzińcu. Chorzy zapinali także jeźdźnie i chodniki przyległych ulic. Lekko ranni podtrzymywali cięższych rannych; oszczędzając przez eksplozję rodziny trzymały się razem. Wielu ludzi miało torsje. Wszystkim wydawało się, że chorują od gazu, który puscili na nich Amerykanie. Wszyscy odczuwali straszliwe pragnienie. W mieście liczącym 245 tysięcy mieszkańców blisko sto tysięcy padło trupem lub odniosło śmiertelne rany od jednego uderzenia. Drugich sto tysięcy doznało obrażeń. Tłum płakał i szepotał: Sensei! Sensei! Lekarza! Lekarza!

Po wybuchu bomby ludzie zaczęli napływać do parku Asano. Mniemali, że jeśli Amerykanie powrócą, będą bombardowali przede wszystkim budynki. W par-

ku panował ścisk i niełatwo było odróżnić żywych od umarłych. Większość leżała nieruchomo z otwartymi oczami. Ranni byli cisi. Nikt nie lamentował, mało kto krzyczał z bólu, nikt się nie skarżył. Z tych co umierali, żaden nie umierał głośno. Nawet dzieci nie płakały.

Zaczął padać deszcz. Krople deszczu były takich rozmiarów, że ktoś powiedział: Amerykanie leją benzynę, chcą nas spalić. Krople jednak były kroplami deszczu, lecz w miarę jak spadały podnosił się coraz silniejszy wiatr. I naraz, zapewne z powodu strasznego silnego krążenia prądów ciepłych, wywołanych przez pożar miasta, zatargał parkiem huragan. Ogromne drzewa waliły się z hukiem, mniejsze, wyrwane z korzeniami, fruwały w powietrzu.

Zrzucenie pierwszej bomby atomowej nastąpiło szóstego sierpnia równo piętnaście minut po ósmej rano czasu japońskiego.

Jej siła wybuchowa była potężniejsza od dwudziestu tysięcy ton TNT i dwa tysiące razy większa od brytyjskiego „wielkiego trzasku” (Grand Slam), będącego najsilniejszą bombą, jaką kiedykolwiek w dziejach użyto. W pierwszej chwili mieszkańcy Hiroshimy myśleli — jeśli w ogóle byli zdolni do myślenia — że z samolotu rozpryskano benzynę, albo jakiś zapalny gaz, albo zrzuciono wielki pęk bomb zapalających. Mieszkańcy Hiroshimy nie wiedzieli, że stali się przedmiotem eksperymentu z użyciem siły atomowej. Aby uzyskać tę jedną bombę Amerykanie wydali dwa miliardy dolarów w złocie. Ósmego sierpnia rano Hiroshima była jeszcze pięknym miastem, w kilka godzin później był to szkielet napełniony gruzami i popiołem, ludźmi obłąkanymi od cierpień, o twarzach całkowicie spalonych i pustych oczodołach. Po ich policzkach spływała ciecz ze stopionych gałek ocznych.

W kilka tygodni po zbombardowaniu Hiroshimy jej mieszkańcy oraz grupa uczonych specjalnie przybyłych mogła zaobserwować bardzo ciekawe rzeczy. Wszędzie na ruinach miasta i w rynsztokach, wzdłuż brzegów rzek, między dachówkami i na kłodach zwęglonych drzew rozciągał się kobierzec świeżej, soczystej zieleni. Wśród szkieletów miasta zakwitło kwiecie. Bomba nie tylko nie uszkodziła korzeni roślin, lecz przeciwnie, podnieciła je do wzrostu. Wszędzie widać było blawatki, mączyniec, dzwonki, podbiał, ziele, prosa. Odnosiło się wrażenie, że razem z bombą zruciono na miasto ładunek nasion. Uczni zauważyli, że wybuch bomby zabarwił cement nadając mu lekko-rudawy odcień, że odłupał powłokę granitu i osmalił pewne gatunki materiałów budowlanych i że w niektórych miejscach bomba zostawiła odbicia cieni, spowodowane światłem. Fizycy znaleźli cień utrwalony na dachu Izby Handlowej, który to cień rzuciła prostokątna wieża tego budynku. Gdzie indziej widać było cień rzucany przez rączkę od pompy benzynowej. Znalezione też niewyraźne odbicia kilku ludzkich sylwetek.

Ale nie tylko tego rodzaju obserwacje poczynili uczni w Hiroshimie. Ni stąd ni zowąd w kilka miesięcy po bombardowaniu tysiące ludzi zaczęły chorować. Rany nie chciały się goić. Kobiety zaczęły tracić włosy. Lekarze doszli do wniosku, że z tymi pacjentami od bomby atomowej nigdy nie wiadomo. Odkryli oni nową chorobę — chorobę promieniowania. Lekarze z początku nic nie rozumieli. Naokoło umierali ludzie albo w ogóle nie ranieni, albo ranieni nieznacznie. Lekarzom w pierwszej chwili zdawało się, że śmierć tę należy przypisać wstrząsowi nerwowemu. Dopiero potem zrozumieli, że ludzie tych zabiło samo promieniowanie; wchłonęli promienie, które niszczyły komórki ciała powodując zwyrodnienie jąder komórkowych krusząc ściany komórek. Na tę chorobę do dnia dzisiejszego nie znaleziono terapii. Mężczyźni, którzy przeszli bombardowanie, stali się jałowymi, kobiety przestały kwitnąć.

— Japonia jest jedynym krajem — pisał w roku 1946 uczony japoński Iositaro Hirano — który poznał potworne skutki bomby atomowej. W rejonach Nagasaki i Hiroshimy można spotkać wielu ludzi, którzy przeżyli bombardowanie. Ci ludzie do dnia dzisiejszego cierpią na nieznane przewlekłe choroby. Niektórzy z nich są straszliwie okaleczeni, u innych niespodziewanie po upływie wielu miesięcy występują objawy nieznanych chorzeń. Nieszczęśliwcy ci tworzą w Hiroshimie „kolonię trędowatych”.

Dla wszystkich ludzi na całym świecie zagadnienie pokoju jest w tej chwili zagadnieniem podstawowym i głównym. Nadszedł czas, kiedy największe zagadnienia historii — tym razem bez przerw — codziennie pukają do wszystkich drzwi. Lecz bardziej niż kogokolwiek historia musi zastać w domu pisarza, który pod koniec każdego dnia winien siebie spytać, co dzisiaj zrobił dla pokoju świata.

Stawianie sobie tego właśnie pytania i pozytywnu na nie odpowiedź — tylko to jedno — może zaleczyć wewnętrzne rozdarcia współczesnego pisarza i wydobyc go z kręgu chronicznych krzysów, w których tkwi.

*) Wszystkie fakty zawarte w artykule, przepisałem z książki Herseya: Hiroshima.



Fot. Władysław Sławny



T A D E U S Z K U B I A K

N O C P O D G D A Ń S K I E M

Lesie wysoki,
Lesie zielony
bądź mi lipcowym
szumiącym domem.

Przez gąszcz kwitnący,
przez miedź i zieleń
rogi jak lirę
niesie mi jeleni.

Rogiem o drzewa
i stuk się niesie
ze stukających
gałęzi w lesie.

Gdybym potrafił,
gdybym to umiał
zagrać, zaszumieć —
toba bym szumiął,

Lesie mazurski,
lesie słowiański —
twój głos mnie dobiegł
nocą pod Gdańskiem.

K O Ś C I E L I S K O

Nie podchodź do Cyganki —
ona cię zaczaruje..
Zaczaruje ci buty,
bo sama chodzi boso,
i wstążki do warkoczy,
bo nie czesze włosów.
I broszki i sukienki.
Nie podchodź do Cyganki,
nie pokazuj jej ręki.
Cyganka powie — miłość.

I ty jej uwierzysz.
Zaczaruje ci serce.
Zaczaruje ci serce.

A ona świat by chciała rozkołysać
w spódnicach.
Cyganka — krzew dzikiej róży.
A idąc stąpa lekko jakby szła po
skrzypcach,
a nie po ziemi.
Powróżyć, powróżyć.

L U B L I N

Nie rzeka — rzeczulka
zanurza się w murawę.
Idzie zmierech po zaułkach
pstrym, wrzaskliwym pawiem.

W usypiającym krzyku
gaśnie pod bramą.
Zielony chłopczyku,
dobranoc. Dobranoc.

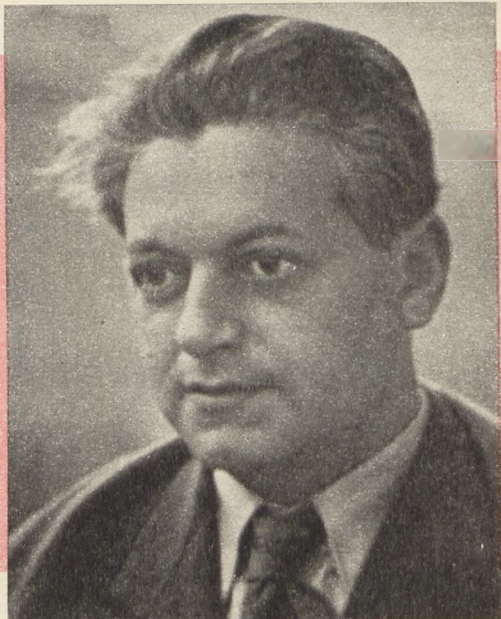
O ileż dziś ładniejszy
twój Lublin starych murów.
Śmigle jaskółki wierszy
pojrzną nawet pod chmurą.

I zaraz księżyc wszędzie.
Noc uniesie zmarszczoną brew.
Rozbijały się mazowieckie tabędzie.
Mój o Lublinie śpiew.

I tego nikt nie usłyszy.
I strof tych nie dokończę.
Gdy umilkną ludzie — w ciszy
wszędzie nad Lublinem słońce.

I znów nie rzeka — rzeczulka
w murawie się wysrebrzy.
Po starych uliczkach, zaułkach
zakwila jaskółki wierszy.

W i e r s z e



A R T U R M I Ę D Z Y R Z E C K I

Ś W I T

Łunna łuna południa?
Kolczyk z czerwonych jabłek?
Możliwe. Może niezbędne.
Ale nie dla mnie.

Ani ta łuna łunna,
Ani fiołki o zmierzchu,
Bo nie chce się gadać próżno,
Brzękliwe i po wierzchu.

Po wierzchu tej wielkiej wody
Są tacy, co pływają —
Życzę im zręcznej melodii,
Którą na sznurkach grają.

A życząc nie zazdroszczę
Tego z konopi dźwięku
Drzwi otwieram na oścież
Staję w nich pełen leku.

Ludzie idą, faluje fala,
Świt w ulicę wpłynął i skrzepł.
Wstaje dzień, i taki jest zaraz
Jak kamień, róża i chleb.

O W Y B O R Z E P R Z Y J A C I Ó Ł

Jeślibym miał do wyboru
Sztukę w ogóle i ludzi w ogóle.
Cóż bym wybrał?

A jeśli będę miał do wyboru
Uśmiech i obojętność?
Wybiorę uśmiech, zapewne,
Ale czy jego cena
Nie będzie zbyt wysoka?

A jeśli mój przyjaciel
Uczyni komuś krzywdę tylko
dlatego.

Że ów skrzywdzony człowiek
Dobrze się nadawał
Do noweli, sztuki, powieści, wiersza?

Do noweli, do sztuki, do wiersza!
Posłuchajcie jak woła ten
przekupień,
Jak moduluje głos.
Przewraca oczami.

Czy powinienem, czy mogę mieć
Takiego przyjaciela?

C H W I Ł A S Ł A B O Ś C I

Mój przyjaciel przyszedł do mnie
płakać.
Jest to wesóły i miły człowiek,
Młody człowiek o bystrych oczach.
Zadzwoił, przeprosił, usiadł w
fotelu,

Płakał jak małe dziecko.
Nie wiem jak długo to trwało,
Może piętnaście, może dwadzieścia
minut;

Mego przyjaciela nikt nie
skrzywdził
Znajomi lubią go, a żona kocha,
Jego talent jest niewątpliwy.
Dlaczego, dlaczego te łzy —
Tak chciałem pytać mego
przyjaciela,

Ale nie powiedziałem nic,
Bo brzmiałoby to niezręcznie,
Dobrze wiedziałem:
Nie tak trzeba rozmawiać

z ludźmi, którzy płaczą.
Siedziałem bezradny.
A on? A on
W krótkiej chwili słabości
Oplakiwał wszystko, co w miłości
jego

Nie jest dość czuły,
Wszystko, co w jego sercu
Zastyga z roku na rok.
Oplakiwał młodość minioną
I przyszłą chwilę śmierci,
Wtedy gdy żegna się świat
Tak wiele wiedząc,
Tak wiele przeczuwając,
Żałując tak wielu spraw.
Roztkliwiał się nad sobą
W niemęskiej godzinie miękkiej
I nie miał racji.
Bolało go, bolało mocno,
Ale nie miał racji.
Nie miał racji.

BOY

Napisał: JÓZEF HEN



Tadeusz Żeleński w latach chłopięcych.

NAJBARDZIEJ otwartym z pisarzy polskich — nazwał Boya w swoim studium Wacław Borowy. Rzeczywiście, w dziele Tadeusza Żeleńskiego mnóstwo znajdziemy materiału autobiograficznego, wspomnień, wyznań, anegdot. Wbrew pozorom, ta cecha twórczości Boya nie ułatwi pracy jego przyszłym biografom. Zawsze istnieje obawa, że biograf ulegnie sugestii boyowskich komentarzy, dających nieraz prawdę tylko częściową. Alboż to autor wie o sobie wszystko? Kiedyś, w austriackim Wiedniu, krążyła anegdota o duchu Goethego, który „oblał” egzamin maturalny z „goethologii”. I my dziś wiemy chyba więcej o Boyu niż on sam. Wkrótce ukaże się wielotomowe wydanie jego dzieł. Otóż jestem przekonany, że Henryk Markiewicz wyjawi nam we wstępach rzeczy, o których się Boyowi nawet nie śniło, a Kott... Bóg wie co wynajdzie Kott!

Jedno nie ulega dziś wątpliwości: czołowe stanowisko Boya w literaturze dwudziestolecia i ogromne jego znaczenie dla naszego piśmiennictwa. W kraju, w którym pozycję dawało tylko pisanie poematów lub powieści, taka rola człowieka, który sławę swą zawdzięczał tłumaczeniom, recenzjom, publicystyce — była czymś niezwykłym! I bardzo złożonym. Spróbujmy prześledzić, oczywiście w ogromnym skrócie, tę tak skomplikowaną drogę twórczą.

Tadeusz Żeleński urodził się w Warszawie, 21 grudnia 1874 r. Ojcem jego był Władysław Żeleński, znakomity kompozytor, twórca „Goplany” i „Janka”; matką — Wanda z Grabowskich, dawna przyjaciółka Zmichowskiej. Znajdujemy się więc w kręgu ludzi sztuki. Ten nacisk świata artystycznego wzmoże się jeszcze w Krakowie, dokąd przenoszą się rodzice 12-letniego Tadeusza. Poeta Tetmajer to jego kuzyn, przyjacielem domu jest — Wyspiański. Ze starszego pokolenia — Asnyk, Sewer, cała ówczesna elita kulturalna. Spotykano tu ludzi, którzy pamiętali Mickiewicza, Chopina, opowiadali o nich anegdoty. Dawały one wersję nieraz sprzeczną z oficjalną historią literatury. Z dziejami narodowymi tak samo: prowadziło się dzieci na „Kościuszkę pod Racławicami”. Anczyca, w którym to dziele szlachta brata się z ludem, a bohaterem jest chłop Bartosz z Rzędowic; w domu zaś opowiadano sobie o tym, jak po klęsce powstania krnąbrny Bartosz został przez swego pana brutalnie oddany Austriakom w rekruty. Tadeusz szybko pojął, że istnieją dwie historie: jedna nieoficjalna, prawdziwa — i druga, zakłamaną, ta, której uczą w szkołach, fabrykowaną dla wygody pewnych kół i osób. 15-letni Tadeusz Żeleński przeprowadza sobie, „na użytek własny”, rewizję „Pana Tadeusza”. Dochodzi do wniosku, że w tym pięknym poemacie jest mowa o sprawach pieniężnych zgoła niepięknych.

Nieufność do oficjalnej historii literatury wyniósł więc Boy z domu. Ale „bunt” ten był głęboko ukryty. Jako dojrzewający młodzieniec, Tadeusz Żeleński niczym się spo swojego otoczenia nie wyróżniał. Jak inni, zaczytywał się, Nietzsche, Schopenhauerem, Dostojewskim, „Skandynawami”: Ibsenem, Björnsönem i Strindbergiem. Jak inni, deklamował Baudelaire’a i „mistycznego” Słowackiego. Jak inni, pisywał „księżycowe” i „witrażowe” sonety, którymi debiutował... w „Świecie”. (Prawda, że idzie tu o „Świat” krakowski, ten sprzed 60 lat, ale zawsze to jakieś powinowactwo). Od innych różniło go to, że studiował z uporem medycynę. Na ogół bowiem rówieśnicy jego, przy-

szli pisarze, woleli studiować prawo, filozofię, często języki Wschodu. Ci nawet, którzy, jak Przybyszewski, wstępowali na medycynę, rzucali studia po kilku miesiącach, skoro tylko przekonali się, że w krajanu trupów nie ma nic demonicznego.

Owo pobratymstwo Boya z dekadentami schyłku wieku było, na szczęście, tylko pozorne. Boy źle się czuł w trupiej atmosferze Krakowa. Nad życiem miasta ciążyła — politycznie i kulturalnie — arystokracja rodowa. „Jaki był bilans socjalny tej hegemonii?” — zapytuje Boy w swoich wspomnieniach krakowskich. — Nie chcę się w to zapuszczać. Boję się zaciemnić koloryt tej gawędy”. Przyjechał Przybyszewski. Młody Żeleński należał do jego świty, pił, odmawiał „Litanię do Szatana”, grał nalogowo w karty, uchodził za neurastenika. Nie była to poza: był to dramat racjonalisty i społecznika, który nie odnalazł siebie. Nikt nie podejrzewał talentów, które w nim tkwiły. „Humor, z jakim przyswoił po latach arcydzieła francuskich pisarzy — wspomina później Przybyszewski — ...to była dla mnie zdumiewająca niespodzianka”.

Dramat zakończyłby się tragicznie, gdyby nie medycyna — i Paryż. W r. 1900 Tadeusz Żeleński wyjechał dla pogłębienia studiów do Paryża. Nic bardziej uproszczonego niż wykrzykniki w rodzaju: „Wielkie miasto! Francuska literatura!” W rzeczywistości z wielkomięjskiego Paryża prowincjusz Żeleński niewiele korzystał. Wiemy z jego wspomnień, że w ciągu tego pierwszego pobytu w Paryżu nie zajrzał nawet do Komedii Francuskiej. Noce spędzał w kabaretach literackich przysłuchując się piosenkom Delmeta. W dzień — spał, wałęsał się godzinami wzdłuż kiosków bukinistów nad Sekwaną, a przede wszystkim czytał. Jeśli go coś z atmosfery wielkiego miasta przejęło, to anonimowość istnienia, cudowna mieszanina ras, nie znana w Krakowie swoboda.

A francuska literatura? Trzeba wyraźnie sobie powiedzieć o jaką literaturę francuską idzie. Znajomość języka Tadeusz Żeleński posiadał jeszcze w dzieciństwie. Baudelaire i dekadenci francuscy byli poetami, z którymi w Krakowie żyło się za pan brat. Za to pierwszą książką francuską, którą Boy przeczytał w Paryżu, był „Kubuś Fatalista i jego pan” Diderota. Kpiąca, wolnomyślicielska, przekorna, zuchwała, mądra twórczość racjonalistów francuskich przypadła do serca dojrzałemu do buntu Polakowi (miał wówczas 26 lat). U racjonalistów francuskich znalazł odrutkę przeciw jadam młodopolskim. Jeśli nie doszedł jeszcze do swego pisarstwa, to rozwiązał przynajmniej zagadkę swego życia: znalazł przedmiot miłości.

Diderot, Wolter, Montesquieu, Beaumarchais (a także Rabelais, Montaigne, Moliere, których myśl patronowała racjonalizmowi francuskiemu) — dawali dzieło, system filozoficzny, orientację kulturalną. Dawali też jasność stylu i myśli.

Wszystkie te cechy zwracały się przeciw krakowskiemu dekadentom. Całe dwudziestolecie po powrocie z Paryża zeszło Tadeuszowi Żeleńskiemu na przeciwstawianiu się Młodej Polsce. To nic, że nie zawsze sobie tego zdawał sprawę. Po latach zdarzało mu się nawet bronić poezji Młodej Polski. Bronił swej młodości,

swych złudzeń, swych przyjaciół. Wskazywał, że przecież ani Przybyszewski, ani Tetmajer, ani Wyspiański nie pisali „dla bankierów”. To prawda. Niemniej jednak hasło „Sztuka dla sztuki” sprzyjało klasom panującym.

Od poetów młodopolskich różniło Żeleńskiego coś jeszcze: jego kontakty, dzięki wykonywanemu zawodowi lekarza, z ludem. Po powrocie z Paryża pracuje w szpitalu św. Łazarza, pisuje rozprawy naukowe, zakłada i przez 3 lata prowadzi filantropijną instytucję „Kropla mleka”, potem jest lekarzem kolejowym na linii Kraków — Podłęże, a wreszcie, podczas wojny, lekarzem garnizonowym krakowskiej „twierdzy”. Styka się z biedotą, z ludźmi z przedmieść i z fabryk. To go uczy skromności i krytycznego stosunku do nazbyt rozśpiewanego „idealizmu”.

W r. 1905 powstaje w Krakowie ekskluzywny kabaret literacki „Zielony Balonik”. Tadeusz Żeleński — już jako Boy — wyrasta wkrótce na jego naczelnego poetę. Z tej wesołej współpracy zrodziły się „Słówka”.

Nie należy przeceniać wpływów „Zielonego Balonika”. Tych kilkadziesiąt seansów, na które wstęp miało tylko wąskie grono zaproszonych, nie mogło do nikogo dotrzeć, nikogo „urobić”. Dopiero wydane w książce — zrobiły „Słówka” swą zadziwiającą i zasłużoną karierę, stały się jedną z najpopularniejszych książek polskich.

W „Słówkach” Boy objawił się jako mistrz satyry, która w jego wykonaniu jest także — o dziwo! — wesoła. Ale to, co jest jej największą siłą, to trafność. Co było znamię epoki? „Egzaltacja słów skojarzona z trywialnością sytuacji” — odpowiada po latach Boy. W młodopolskich wierszach zachowały się z tego znamię tylko słowa („piało się górnio”). „Słówka” pokazują także trywialność sytuacji. Kpią z „duszy poety”, z „krakowskiego jubileuszu”, z kwintnego „epikurejczyka” w Ostendzie, z malarza, który „Takiej dostał dziwnej manii, że chciał tylko od Stefani” i nazywał to „natchnieniem”, ze „straszliwych matron”, z historii literatury dla grzecznych dzieci, z hymenografomanów, z sarmatyzmu, z kłamstwa, które ciążyło nad życiem. Główny cios wynierzony jest przeciw współczesnemu załganiu. Kiedy Boy śmieje się z wieszczów, że kochali „z sercem czystszy niż paznokcie”, ma przed oczyma swych przyjaciół w pelerynach, o ich „smętach” i „tęskniach” myśli.

Boy, jak tłumaczony przez niego Wolter, staje się mistrzem w „uziemiaaniu” zagadnień, w braniu ich — na prosty rozum. To pozwala mu wykazywać, ile w neoromantycznych problemidłach kryje się pozy. Czymże innym, jeśli nie taką konfrontacją ze zdrowym rozumem są jego „pieśni dziadkowe”? Humor potęguje się tu jeszcze przez to, że „dziadek” nie jest także bez grzechu; już zdążył się zarazić terminologią i przesadami osób opiewanych. Zupełnie jak wiechowski Pan Piecyk, stanowiący kontynuację tego właśnie typu humoru.

Nie bez kozery wspominałem tu Wiecha. „Słówkom” satyra polska zawdzięcza swe odnowienie. Dość poczytać te straszliwe wierszydła, które drukowały różne „Kuriery Świąteczne” w okresie „przedśłówkowym”, by zrozumieć, czego dokonał Boy. Od niego zaczyna się okres wstępujący satyry polskiej. Staje się ona także poezją — i tym, po dzień dzisiejszy, różni się korzystnie od satyry wielu literatur obcych.

Sukces piosenek „Zielonego Balonika” wzmacnia wiarę Boya we własne siły. W r. 1909 wychodzi pierwszy jego przekład z francuskiego: „Fizjologia małżeństwa” Balzaka. I tłumaczony autor, i książka, i nawet sam tytuł — stanowiły wyraźne wyzwanie „panującym” prądom. Zaczyna się gigantyczna, jedyna w literaturze światowej, praca tłumacza, który niezmordowanie, w ciągu 30 lat, bombarduje nasz rodzimy ciemnogród arcydziełami francuskiej myśli postępowej. Nie istniał wówczas żaden „Czytelnik”, który by wstawiał jego tłumaczenie do planu, dawał zaliczkę, płacił za tekst zaakceptowany i zamawiał następny. Nie znaczy to wcale, że ówczesni wydawcy byli wszyscy łotrami i eksploatatorami. Ale, mimo niewątpliwych zasług niektórych z nich, wszyscy musieli się liczyć z rynkiem i koniunkturą. Rynek zaś był ubogi, a koniunktura nie sprzyjała Balzakom. Boy się jednak uparł! Tłumaczył na własną odpowiedzialność. Początkowo na wrywki, bez planu, według swojego zachcenia. W roku 1915, w pełni wojny, dojrzała w nim śmiała myśl usystematyzowania tych przekładów w wielkiej Bibliotece Boya. W okresie przewagi państw centralnych propagowanie literatury francuskiej przez lekarza armii austriackiej — to był czyn polityczny! Za mało się o tym pamięta. Sam tłumacz zdawał sobie z tego sprawę. Pisał o swojej Bibliotece: „Z czasem stanie się — jestem tego pewny — podstawą zupełnego przewartościowania naszych orientacji kulturalnych”. Biblioteka Boya była początkiem walki tego patrioty o losy kultury narodowej.

Przyswajając polszczyźnie klasyków francuskich piszących na przestrzeni czterech wieków — Boy musiał „przeorać” (tak to się mówi) całe obszary naszego języka. Stał się jego uznanym mistrzem. Sądzę, że podczas tej pracy nieraz zadumał się melancholijnie nad ubóstwem mowy dekadencjonalnej: jej wpływów w dziele Boya na szczęście nie odnajdujemy. Odczuwa się wpływ lektury Reja, Kochanowskiego, Górnickiego, Paska, literatury plebejskiej, Potockiego, Zabłockiego, Krasińskiego, Rzewuskiego; naturalnie wpływ twórczy, bo dla oddania Villona i Rabelais’go Boy znajduje styl, którym nie pisał ani Rej, ani Górnicki.

Trzeba było wielkiej znajomości życia, by tłumaczyć

pisarzy całkowicie od siebie odmiennych. Wacław Borowy w studium „Boy jako tłumacz” wylicza terminy, którymi Boy swobodnie się posługuje. Oto one: teologiczne, filozoficzne, prawnicze, bankierskie, lekarskie i aptekarskie, drukarskie, wojskowe, morskie, łowieckie, rolnicze, koniarskie, zoologiczne, rzeźnicze, kucharskie, karciane, nazwy zabaw (ponad 200 w tłumaczeniu „Gargantui!”). Można by ten rejestr powiększyć, bo Borowy pisał swą rozprawę po 68 tomach boyowskich, a tłumacz dorzucił do nich jeszcze ponad 70 tomów, m. in. Stendhala i Prousta. Miał rację Borowy, kiedy twierdził, że przez Boya „ujawnił swoją nową przebudowaną siłę i świeżość język polski”.

44 lata liczył Boy, kiedy zasiadł, trochę przez przypadek, na fotelu recenzenta teatralnego. W ciągu całego 20-lecia — najpierw w Krakowie, a potem w Warszawie — pisywał swoje recenzje, zadziwiając wszystkich wieczną świeżością, dociekliwością, dowcipem. Powstało z tego 17 tomów wrażeń teatralnych! Jest rzeczą zdumiewającą, jak bardzo książki te zachowały czytelność. Mało: są najrozkoszniejszą lekturą. Zapewne, wielka w tym zasługa boyowskiego języka. Jest to naprawdę język tak giętki, że wyrazi „wszystko co pomysł głowa”. Ale wiemy skądinąd, że „styl — to człowiek”.

Tuż po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, Boy przypominał trochę wolterowskiego Kandyda, któremu jego preceptor Pangloss zapowiedział, że „wszystko jest najlepiej na tym najlepszym ze światów”. Boy, który w swej pracy tłumacza przebiegał dzieje od Villona do Verlaine’a, a którego pamięć tłoczyły ciężkie wspomnienia z cesarsko-królewskiego Krakowa — stwierdzał, na pociechę bliźnim, że dawniej było gorzej. „Można być poetą nie całując w jedwabne trykoty żadnego diuka, ni księcia”. To ulga! Gdzie indziej: „Zatem jest lepiej, a da Bóg, będzie jeszcze lepiej, wszak świat pracy jest dopiero w zalążku”. Wiązanie jednak tego „będzie lepiej” z rozwojem „świata pracy” jest bardzo ciekawe. Charakteryzuje ono ukryte tęsknoty Boya. Nie należy zapominać, że dziennik „Czas”, w którym Boy zaczyna jako recenzent, to był organ konserwy, a „Kurier Poranny”, jego następca przystań — organ mieszczaństwa! Boy, wypowiadając swoje poglądy, musiał liczyć się z ich odbiorcą.

Początkowo wydawało mu się, że na tym „najlepszym ze światów” będzie mógł sobie pozwolić na luksus głoszenia własnych poglądów. Rychło przekonał się, że nie odbędzie się to bez walki. Wystarczyło mu zaczepić stan szlachecki, by posypały się na niego gromy, wśród których nie brakło oskarżeń o „bolszewizm”. Okazało się, że w dobie rzekomej demokratyzacji szlacheckość wcale mocno ciąży nad życiem Polski. „Polskość — to szlacheckość” — wołał trubadur Młodej Polski, Artur Górski. Można by więc recenzje „antyszlacheckie” Boya traktować jako dalszy ciąg jego walki z Młodą Polską. Ale to było coś więcej. Sarmatyzm stał się w dwudziestolecie tendencją polityczną. Na kresach wschodnich usiłowano odrodzić „szlachtę zaściankową”, zresztą z miernym skutkiem. Boy przeciwstawił się więc najbardziej wstecznym tendencjom politycznym. W walce tej użył niemało ciężkich słów:

„Kontusz to godło najciemniejszej epoki Polski, najbrzydszych stron sarmatyzmu: buty i nikczemności” — pisał pod wycie prasy klerykalno-endeckiej.

„Porachunek ze szlacheckością — wciąż jeszcze aktualny — to kwestia naszego zdrowia moralnego”. (Znowu wycie).

„Rola literatury jest wyprzedzać przemianę obyczajów, rozsądzać więzienne Wczoraj, w którym dusi się Dziś”... (Wycie. Wycie. Wycie).

I Boy rozsądza owo „Wczoraj”. „Charakterystyczne dla utworów z owej straszliwej epoki — pisze — jest, że to, co autor przyrządza na sielanek, wydaje nam się jeszcze okropniejsze niż to, co smaga „satyrą”. A utwory współczesne? Boy jest zawsze po stronie ludzi zwykłych, „szarych” — jak się wówczas mawiało — i to przeszkadza mu zachwycać się sztuką mieszczańską babrzącą się w problemach ludzi sytych. Wszystko, co mu pokazuje na scenie, konfrontuje z życiem, ze swoimi doświadczeniami lekarza kolejowego, z uczuciami nie tylko tych ludzi, którzy chadzą do teatru, ale i tych, którzy tego przywileju są pozbawieni. Jak Balzak, zagląda bohaterom do portmonek, bada dochody i intencje „idealistów” i wyciąga wnioski, że dochód jest nieczysty, a idealista — sybarytą i świnią.

Recenzować jednak można tylko to, co jest w repertuarze. Gra się zaś przeważnie — farsy, których „końcówce „happy end” wydaje nam się dość obrzydliwe”. „Ach, jak się nam już sprzykrzyli — woła — ci rentierzy, milionerzy, automobile, garsoniery, modne restauracje, kokotki, utrzymanki, ta atmosfera banalnego zbytku, w jakiej zanurza nas zwykle przeciętna farsa paryska”.

Nawet klasykom (którzy w jego recenzjach wychodzą na ogół obronną ręką) nie wybaczy Boy fuszerki. Odkrywa w uczynkach bohaterów podszezwę socjalnej natury, stając się prekursorem dzisiejszej krytyki

ANTONI SŁONIMSKI

Z POEMATU „POPIÓŁ I WIATR”

...Gdy dom Boyów wspominam w najczulszej przy-
jaźni,
Pierwsza rzecz, którą czuję, to jest zapach łaźni.

Bo na dole w tym domu z dzieciństwa znajome
Mieściły się kąpiele i łaźnia Fajansa.
Wchodziło się w oparach przez schody dość strom.
Do mieszkania, gdzie zwykle sobotnie seansa
Gromadziły przyjaciół, pisarzy, aktorów
W gwarze rozmów i żartów, dyskusyj i sporów.



W korytarzu ogromna stoi ciężka paka
I pod ścianą w jadalni — skrzynia wpół otwarta.
W nich dobytek domowy: przekłady Balzaka,
Diderota, Pascala, Moliera, Descartes’a.
„Słówka” cienkie i grube, „porachunki” Fredry,
Książki, od których w Polsce trzęsły się katedry.

Tu najbliższa rodzina: „Ojciec Goriot” stary,
„Kuzynek Pons” poczciwy i „Kuzynka Bietka”.
Romans czuły z Odettą, flirt z „Panią Bovary”.
Samych tylko przekładów była z górą setka.
Tak wyglądało z bliska, głupio przyczepione
Do wielkiej pracy Boya, „życie ułatwione”.

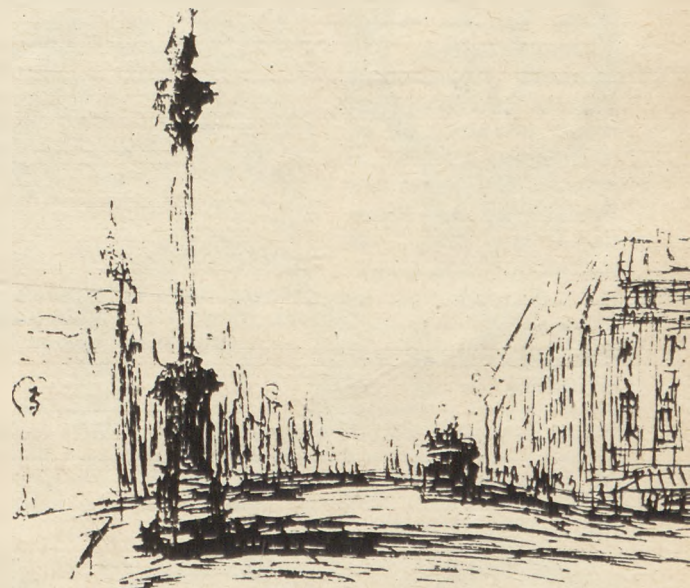
Ze ścian patrzy Witkacy — demon zakopiański.
Przy oknie wisi rzewny portret pani Zosi.
Tak ją widział, z tym lokiem na czole, Wyspiański,
I taką ją w „Weselu” drużba w taniec prosi
I porywa jak piórko lekką i panięską
Panią Zofię Boyową de domo Pareńską.

Właśnie wszedł Staś Baliński. Torcik pralinowy
Zostawił w przedpokoju, bo jutro niedziela
I z Antonim na obiad jedzie do Podkowy.
Górka tłumaczy komuś, że w czasach Popiela
Żyła jeszcze tradycja stara króla Cwieczka.
„A z kim żyła?” — wtrąciła któraś aktoreczka.



Fiszer głośno o starym słudze opowiada,
Który tańcząc kozaka „skacze wściekle w górę,
A potem niestychanie powoli opada...”
Rozejrzał się, skończywszy tę wspaniałą bzdurę,
Poprawił się w kanapie i w milczeniu głuchem
Sam jeden porykuje, trzęsąc wielkim brzuchem.

Tylko Boy mu wtóruje. W dobrym jest humorze.
Zaśmiał się, nagle ucichł i pełen rozpacz
Głowę nisko pochylił i westchnął: „Mój Boże”.
Kto zna Boya, wie dobrze, że to nic nie znaczy.
Taka już ma naturę, że w momencie krótki
Z rozpacz wchodzi w radość, a z radości w smutki.



Lilka przysłała z uroczym swych wierszy tomikiem
I martwi się o tatkę, czyli o Kossaka,
Który dziś kiskę jedząc połknął ją z patykiem
Wszyscy ją pocieszają, że niemądra taka,
Że to głupstwo. — „Być może, że to minie po dniu,
Ale to już jest drugi patyk w tym tygodniu”.

...Zdarła czasu zastaną ręką tajemnicza
Odłoniła ten obraz, znów jesteście razem.
Widzę w śniegu za oknem pomnik Mickiewicza
I gdy chciwie wzrok poję tym miłym obrazem,
Rozwiewa się i ginie z oczu wyobraźni
W szarej mgłę zapomnienia i w oparach łaźni.

rys. FELIKS TOPOLSKI

marksistowskiej. Kapitałny w tym względzie jest szkic „Czytałem Wertera“.

Boy staje się niebezpieczny. Z „beniaminka“, ulubieńca, którego „Stefanie“ cytował sam Piłsudski — przeobraża się we wroga. Proch jest nagromadzony.

Wybuch następuje z powodu Mickiewicza. Wydawca dzieł wieszcza zaproponował Boyowi, żeby napisał do nich wstęp. Mickiewicz był wówczas nie tyle świętością narodową, ile świętym patronem pewnych wątpliwych spraw. „Uczyniono zeń — pisał w swoim wstępie Boy — rodzaj „trzeciego maja“ przeciw pierwszemu majowi, sztafard przeciw socjalistom. Mickiewicz — to była tradycja, kontusz, wiara, ład i porządek. To była „reakcja“ Boyowi wystarczyło trafnie odczytać listy Mickiewicza (o których w powodzi komentarzy i w zapale brązowniczym trochę zapomniano), by stwierdzić — coś wręcz odwrotnego. Zaatakował w swym wstępie „mesjanistyczny“ okres Mickiewicza. powiedział co myśli o Towiańskim, wskazał na znaczenie pobytu poety w Rosji i wreszcie przypomniał działalność Mickiewicza w „Trybunie Ludów“. Zerwała się burza. Boy odpowiedział. Wyszło na jaw, że Boy-dyletant orientuje się w mickiewiczologii lepiej niż uczeni specjaliści. W tropieniu i przygważdżaniu nieścisłości i kłamstw okazał talent urodzonego detektywa. W okresie, kiedy usiłowano wskrzesić „przedmurze“ i mesjanizm, kiedy przygotowywano nam nową mistykę, tym razem rasową, nowe „posłannictwo dziejowe“ — zdemaskowanie i ośmieszenie mesjanizmu było wielkiej wagi czynem politycznym.

Zrodzona z tej polemiki książka o Mickiewiczu, „Brązownicy“, wydaje nam się dziś dość jednostronna. To dzieło stosunkowo najmniej żyje. Ale dla dalszych dziejów Boya ma ono znaczenie zasadnicze. On, spokojny pracownik sztuki, za jakiego jedynie się uważał, znalazł się nagle w samym środku pogmatwanych walk politycznych. Znalazł się — jak słusznie zauważył Andrzej Stawar — na wyłomie frontu, oko w oko z nieublaganym przeciwnikiem. Odtąd Boy stanie się dla Ciemnogrodu wrogiem Nr 1.

Pisarz kontynuuje swą walkę w szeregu książek publicystycznych. „Dziewiece konsystorskie“, „Piektu kobiet“, „Jak skończyć z piekłem kobiet“, „Nasi okupanci“. Staje się naszym Wolterem. Pisuje broszury, zakłada poradnie, szerzy koncepcje neomaltuzjańskie, błądzi. Jak Rittnerowski „Głupi Jakub“, z którego tyle razy zdawał sprawę, ciska wszystkim wokół swoją „prawdę“ i mało kto go rozumie, mało kto się do niego przynajmniej — może dlatego, że była to prawda wyjątkowo niepełna.

Nadal pisuje swoje recenzje. Nadal wychodzą tomiki Biblioteki Boya, w pełni kryzysu, z oczywistą stratą. A w prasie? Nagonka. „Codziennie kubły pomyj“. Kiedy objeżdża Polskę z odczytami o Villonie, czyjeś brudne ręce organizują terrorystyczny bojkot, awantury, burdy. Boy nie zalamuje się. Jak Molier, walczy nieustępliwie ze Świętoszkiem. Jak Beaumarchais — procesuje się. Naprawdę wolalby mówić jedynie o sprawach sztuki. Ale czy może być głuchy i ślepy na to, co się dzieje w kraju?

W tym czasie wygrywa bitwę o Fredrę. Powstają świetne „Obrachunki Fredrowskie“, których znaczenie dla naszej literatury da się porównać jedynie ze znaczeniem artykułów Bielińskiego dla literatury rosyjskiej. Te wspaniałe „Obrachunki“ nie straciły nic na świeżości, są wciąż lekturą pasjonującą! Może dlatego, że Boy posunął się tu wyraźnie na drodze do marksistowskiego widzenia świata. Znamienne są tytuły rozdziałów: „Nie fałszujcie nam Fredry!“, „Rasy, klasy, czasy“, „Hrabie Fredro“, „Polonistyka od pana Zagłoby“, „Trochę komiczna nauka“. Jeszcze jeden cios w szlachetczynię.

Ta książka była druzgocąca. Nikt nie czuł się na siłach z nią polemizować.

Z kolei, tuż przed wojną, wyszła „Marysińska Sobieska“. Dziś jest to dla nas jedynie przyjemnie napisana monografia. Wówczas — nieoczekiwanie i dla samego Boya, któremu własne pióro płało nieraz niespodzianki — był to czyn polityczny. Szerzono właśnie kult „wodza-Piasta“. Sobieski nadawał się na antenata jak ułaz: miał wasy jak Piłsudski, a usiłowało go kreować na uebermenscha jak Śmigłego. Był to okres niepopularności Francji, okres zbliżenia rodzimego faszystu z Hitlerem, „łobuziakiem“ — według określenia Boya — który zachłystał się teorią nadszowieństwa. W to wszystko wpada książka Żeleńskiego. I wódz-Piast jest w niej dziecinny w swoich amorach, osobliwy w swym patriotyzmie, ograniczony w horyzontach, a przede wszystkim słaby jako charakter. Jako człowiek, Sobieski w ujęciu Boya był zresztą sympatyczny, jako nadszowiek — tracił wszystkie walory. Boyowi grożą pojedynki, pobicie.



BOY-ŻELEŃSKI
Rysował Stanisław Ignacy Witkiewicz

Wojna. Boy uchodzi do Lwowa. Przyjaciele proponują mu wyjazd do Paryża. Boy odmawia. Stracił wiarę w Zachód. Tu, w kraju, w którym „świat pracy“ zdążył już się rozwinąć, znajduje zrozumienie i szacunek. Otrzymuje katedrę profesora romanistyki we Lwowie, „Internacjonalna Literatura“ drukuje jego essay o Mickiewiczu. Pisze o Balzaku, Vallesie, należy do redakcji „Nowych Widnokręgów“. Podczas uroczystości mickiewiczowskich we Lwowie czyta swój nowy, wzruszający szkic o Mickiewiczu, jeden z najpiękniejszych, jaki wyszedł spod jego pióra. Jest to zsumowanie jego myśli o wielkim poecie, którego był namiętnym wielbicielem.

Prace te przerywa znowu najazd niemiecki. Boy ginie z rąk gestapo we Lwowie 5 lipca 1941 r. wraz z wieloma innymi profesorami lwowskimi: Zakrzewskim, Bartlem, Grekiem...

Niezwykła jest ta droga wielkiego pisarza. Od piosenek „Zielonego Ralnika“ — aż do męczeńskiej śmierci z rąk gestapo. Trudno o niej myśleć bez bolesnego wzruszenia. Zamordowali go ci, którzy byli kwintesencją ciemnych sił, przeciw którym walczył całe życie. O czym myślał ten wielki przyjaciel ludzi, gdy zaglądała mu w oczy lufa karabinowa?...

Nigdy nie odżałujemy jego śmierci. Dosięgła go ona w pełni sił fizycznych i umysłowych. Czasem wydaje się, że

Boy jeszcze się nie wypisał, że najważniejsze — miał nam dopiero powiedzieć.

Pozostało ogromne dzieło: 150 tomów przekładów i ponad 40 książek oryginalnych. Przekłady Boya weszły nam w krew, stały się częścią naszego życia. Nie ma dziś chyba w Polsce pisarza popularniejszego niż Balzak! Niektóre prace oryginalne Boya, jak „Słówka“ czy „Obrachunki Fredrowskie“, były po wojnie wielokrotnie wznawiane. Boy stał się pisarzem Polski Ludowej, stał się naszym sojusznikiem w walce o treść i rozsadek, w walce z formalizmem, mętniactwem, gadulstwem, dętą frazeologią.

Ale wydaje mi się, żeśmy nie wszystko jeszcze zrobili dla uczczenia pamięci wielkiego pisarza. Więcej on zrobił dla nas. Dlatego powitać należy zapowiedź obszernego wydania dzieł Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Książki — to najistotniejsze życie pisarza. Przydałyby się też inne, może drobne, ale tak przyjęte i ważne dowody pamięci; jakaś ulica, tablica, dom. Co na to Kraków? I koniecznie muzeum Boyowskie: zbieranie listów, fotografii, recenzji, pamiątek.

Nie śmiem pisać o pomniku z brązu — lękam się cieniów Boya. Ale może znajdą się odważniejsi...

JÓZEF HEN

*) Szkic ten drukowaliśmy w naszym piśmie w nr 48.

GRA O M

W przeciwieństwie do innych imprez sportowych, wymagających długoletniego treningu, odpowiednich warunków fizycznych, stadionów, pływalni, gór, śniegu, sprzętu, sędziów, publiczności itp., w naszej imprezie każdy może zostać mistrzem „Świata“. Otyły piwosz może pobić w niej smukłą Klemińską, a Sidło może przegrać z pięcioletnią dziewczynką.

Do naszych zawodów potrzebny jest jedynie stół, (przy czym format jego jest obojętny), kostka do gry, kilka pionków. Liczba uczestników jest nieograniczona, ale praktyka wykazała, że powyżej sześciu osób robi się zbyt duży tłok i zamieszanie.

Po uzgodnieniu liczby grających losujemy kolejność rzutów i grę rozpoczyna ten zawodnik, który pierwszy wyrzuci 6, co mu daje prawo rozpoczęcia gry, a rzut następny określa, na jaki numer trafia ze startu. Jeśli nasz pionek stanie w kółku czerwonym, czyli w kółku, w którym jest obrazek, należy wówczas przeczytać poniżej zamieszczoną informację, jakie dalsze losy go czekają. A więc:

Nr 3 — SKOK W DAL. Ponieważ grę dopiero rozpoczynamy, jesteśmy niezmęczeni i działo się przekakujemy na Nr 5.

Nr 4 — NARTY CZYLI BIAŁE SZALEŃSTWO! Wspaniale szusujemy o tyle oczek, ile uzyskamy w trzech rzutach kostką. Ale jeśli trafimy na miejsce już zajęte — kraksa, nóżki w gipsie i wraz z towarzyszem niedoli wracamy na Nr 1.

Nr 6 — TO BIEG NA 5.000 m. To trudna sprawa, ale chcemy dorównać Kucowi i udaje się nam przebiec na Nr 11 w czasie lepszym od Kuca!

Nr 8 — BOKS. Ha, trudno! Zostajemy znokautowani i przez dwie kolejki rzutów leżymy, zanim będziemy zdolni brać udział w dalszej grze.

Nr 10 — RZUT OSZCZEPEM. Tutaj nie możemy zawieść. Rozpędzamy się na Nr 15, a tam rzucamy kostkę jeszcze raz i posuwamy się naprzód o wyrzuczoną ilość oczek.

Nr 12 — KOSZYKÓWKA. Gdy znajdziemy się pod koszem, rzucamy jeszcze raz, i cofamy się o wyrzuczoną ilość oczek.

Nr 13 — BILETY! Oczywiście mamy pecha! Nie dostaliśmy biletów na trybunę. Czekamy więc, dopóki nie wyrzucimy 5, co nas przeniesie na miejsce Nr 18.

Nr 16 — SZERMIERKA — Jesteśmy tak oczarowani wspaniałym widowiskiem, że zagapieni opuszczamy jedną kolejkę.

Nr 19 — ŁYŻWY. Szybko posuwamy na numer, który jest odpowiednikiem daty dzisiejszej. Np. dziś jest 25 grudnia, to na Nr 25. Oczywiście, jeśli jest Nowy Rok, to ze smutkiem wracamy na Nr 1.

Nr 22 — HOKEJ NA LODZIE. Tutaj stosujemy manewr taktyczny i zamieniamy się na miejsca z graczem, który najbliższej stoi przed nami. Jeśli my jesteśmy pierwsi, to z graczem stojącym najbliższej za nami.

Nr 24 — RZUT MŁOTEM. To sprawa naprawdę „ciężka“. Musimy mieć siłę i dlatego rzucamy kostkę jeszcze raz.

Nr 26 — TRÓJSKOK. To dobre dla kangurów. Ale mały wysilek — i jesteśmy na Nr 31.

Nr 28 — PIŁKA NOŻNA. Tu się nam nie udaje! Piłka zostaje wybita na aut, my z nią wybieramy — na Nr 20.

Nr 30 — PLYWANIE. Płyniemy na Nr 33, tam rzucamy jeszcze raz kostką i robimy nawrót w tył.

Nr 32 — BIEG PRZEZ PŁOTKI. Skaczemy o jedno pole przed partnera, który stoi przed nami. O ile jesteśmy pierwsi, ładujemy na Nr 40.

Nr 34 — BIEG 100 m. — Niestety zmyliliśmy tor i wbiegamy zamiast na metę — na Nr 27.

Nr 36 — SZTAFETA 4 x 100. Stajemy obok gracza, który jest przed nami. Jeśli jesteśmy pierwsi, posuwamy się na Nr 50.

Nr 38 — PCHNIECIE KULĄ. Z trudem rzucamy i kula ładuje o 15 metrów od startu. A więc — łdziemy po nią na Nr 15.

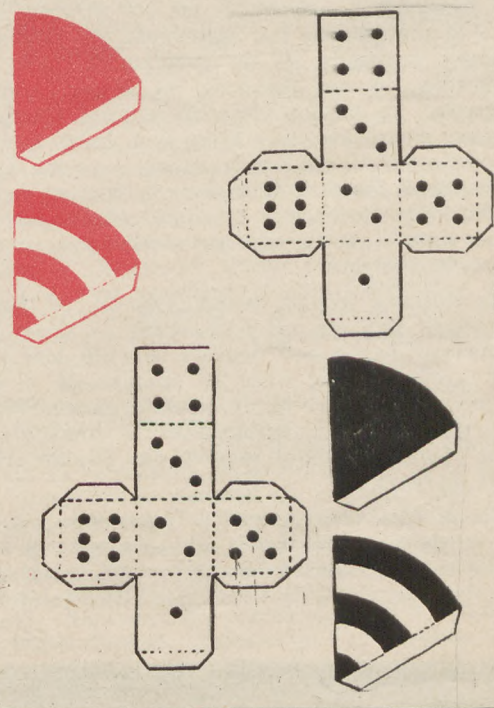
Nr 41 — RZUT DYSKIEM. Wspaniały rzut i jesteśmy na Nr 47. Gdyby to jeszcze było tyle metrów!

Nr 44 — SKOK O TYCZCE. Zamiast naprzód, to w górę, i już znajdujemy się wysoko na Nr 23.

Nr 48 — SKOK WZWYŻ. Tak blisko mety i zamiast naprzód — znów w górę. Wspaniale! Będziemy na Nr 33.

Wygrywa ten, kto pierwszy stanie jedno oczko za 50-tką. Jeśli jest np. na Nr 49 i wyrzuci pięć, to staje na numerze 46.

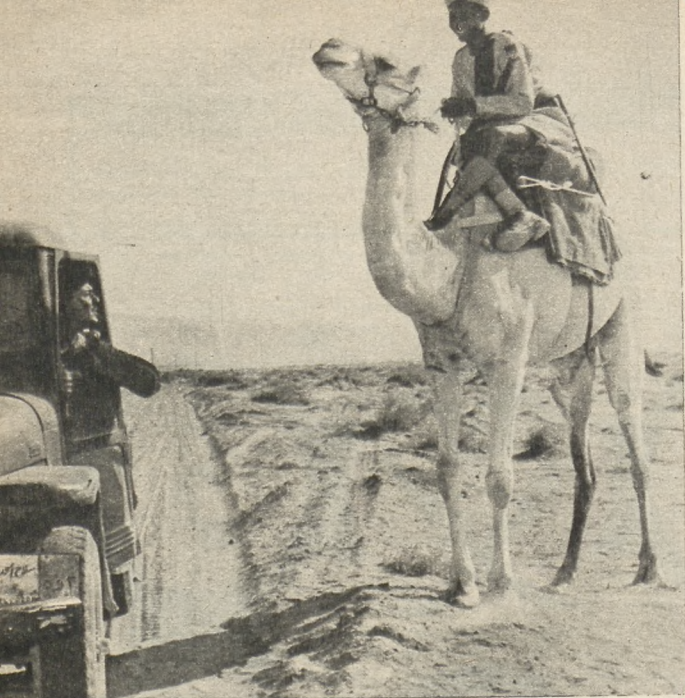
PIONKI i KOSTKI DO GRY



STRZOSTWO SWIATA

Pomysł i wykonanie
ERYK LIPIŃSKI





Gdzieś w pobliżu są przemytnicy! Straż graniczna otrzymuje rozkazy od oficera, który przybył „jeepem”.



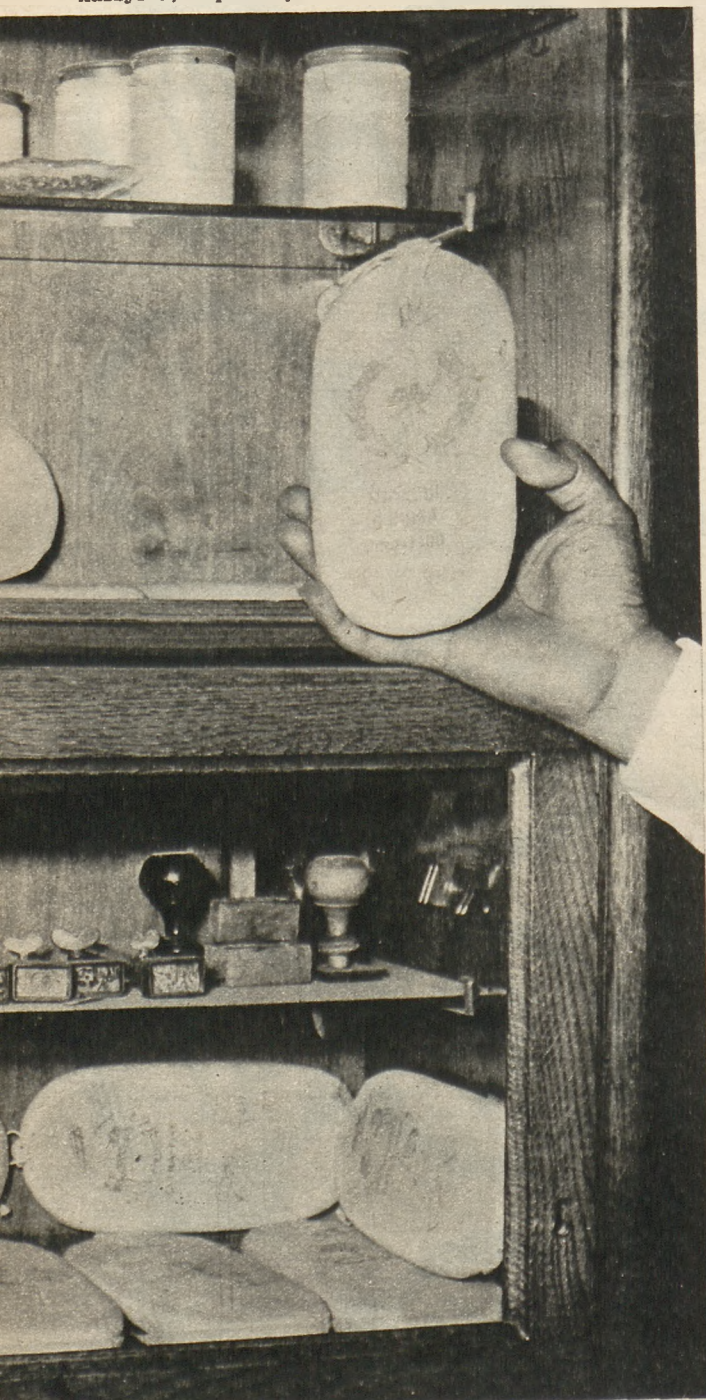
Patrol odkrył ślady. Kontrabanda haszyszu odbywa się głównie przez pustynne rejony nad Morzem Czerwonym



Kontrabandyści wpadli już w ręce straży granicznej: są to Beduini z gór Synaj. Mieli przy sobie trzydzieści

Haszysz

Urzędy policyjne gromadzą próbki różnych gatunków haszyszu, pozasztywane w małych woreczkach.



W kawiarniach oficjalnie pali się wyłącznie nargile. Ale każdy tego rodzaju lokal posiada „nieoficjalnie” tajne pomieszczenia dla palaczy haszyszu. Narkomania jest plagą ludności krajów Bliskiego Wschodu.





kilo haszyszu — zostaną zasądzeni na kary więzienia. Ale to nie rozwiąże społecznego problemu narkomanii.

F

RANZ K., były esesman, który uzyskał azyl w Kairze, zaproponował mi pewnego wieczoru wycieczkę na peryferie, gdzie — jak zapewniał — zetkniemy się z palaczami haszyszu.

Ruszyliśmy, zostawiając za sobą rzesię oświetlone centrum miasta. Zanurzyliśmy się w ciemne uliczki, spowite lekką mgłą, a raczej oparem, wylaniającym się z ziemi po upalnym dniu; w oknach nędżnych domków przeblyskiwały tylko wątle płomyczki lamp oliwnych.

Na samym skraju tej dzielnicy biedaków, przylegającej bezpośrednio do milczących obszarów pustyni ujrzelśmy pod murem cmentarnym grupę ludzi. Czterej robotnicy leżeli na ruinach rozwalonej bramy cmentarza, a liny i haki żelazne porzucone u ich stóp wskazywały, że są to tragarze. Zbliżywszy się jeszcze bardziej dostrzegaliśmy, jak powolnym ruchem podają jeden drugiemu gumową rurkę nargila, z której wydobywa się dym o przyjemnym, odurzającym zapachu.

Przez dłuższy czas nie dostrzegali naszej obecności. pograżeni w czynności palenia. Dopiero po kilku minutach zauważył nas najmłodszy z robotników; zerwał się i rzucił do ucieczki. Koledzy jego przyglądali się nam apatycznie, nienaturalnie rozszerzonymi zrenicami. Zrozumiałem, że są już w stanie całkowitego odurzenia narkotykiem, haszyszem, który dając chwilową podniecie, wyniszcza organizm, powoduje wczesną utratę sił fizycznych i całkowite obezwładnienie woli.

Poszliśmy dalej. W jednej z ciemnych i cichych uliczek Franz zatrzymał się nagle, podszedł do okna niepozornego domku i cicho uchylił okiennicy.

Zajrzelśmy do środka. Wnętrze izby było nieopisanie brudne, zastawione starymi gratami, naczyniami na wodę, zarzucone łachmanami. Na dużej przychyty spalo w kacie pięcioro czy sześcioro dzieci. W drugim rogu, na rozciągniętej baraniej skórze siedzieli mężczyzna i kobieta. Palili nargile. Mężczyzna opowiadał o czymś i uśmiechał się sennie. Niebawem poczał rękoma czynić jakieś gesty, jak gdyby taneczne. Wtedy kobieta, starsza już zresztą, podniosła się powoli i rozpoczęła taniec, ów charakterystyczny taniec orientalny, w którym nogi prawie nie biorą udziału, a jedynie korpus i dłonie, kreślące w powietrzu jakieś tajemnicze znaki. Wydawało się, że w swoim tanecznym zapamiętaniu nie widzi i nie słyszy, co się dzieje dokoła. Po pewnym czasie wyczerpana padła na ziemię. Mężczyzna podał jej gumę nargila.

Konsumentami haszyszu w Egipcie są głównie biedacy. Narkotyk ten jest strasznym dziedzictwem po rządach kolonialnych, prawdziwą plagą siejącą spustoszenie wśród proletariatu miejskiego i ubogich chło-



Oto handlarze narkotyków w więzieniu Tura w okolicach Kairu. Mimo surowych kar tony haszyszu przedostają się nielegalnie do Egiptu. Klęska narkomanii sieje spustoszenie, głównie wśród ubogiej ludności.

pow. Jeszcze i dziś znaleźć można wśród klas rządzących rzeczników starej polityki kolonialnej: lekarze i socjologowie głoszą „teorie”, według których haszysz jest używką konieczną dla egipskiego robotnika. artykułem pierwszej potrzeby o „starych tradycjach”. Domagają się nawet, aby narkotyk ten był sprzedawany legalnie, pod kontrolą państwową, ustalającą ceny i jakość „towaru”.

Franz K., były hitlerowiec, w pełni popiera te „teorie”. Postaram się streścić jego „wykład”, jaki wygłosił na ten temat, gdy wracaliśmy z owej pamiętnej wycieczki.

„Narody wschodnie — mówił — prowadzą życie kontemplacyjne, posiadają wrodzone skłonności do odurzania się narkotykami. Dlatego właśnie są z natury niezdolne do tworzenia historii. Brak aktywności życiowej, brak wszelkich ideałów (tak to określił ten hitlerowiec) spycha je w ramiona narkomanii. Haszysz używany jest w Egipcie od wieków, nic się pod tym względem nie zmienia i nie może zmienić. Jest to cecha rasowa, odwieczna i niezmienna”.

Nieco innego zdania jest jednak republikański rząd

w Egipcie. Widząc, jak dalece haszysz wyniszcza siły robocze kraju, wydał on ostrą walkę zarówno handlarzom, jak i konsumentom tego narkotyku. W więzieniu w Tura widziałem setki ludzi osadzonych za przemyt i palenie haszyszu. Mimo to corocznie dziesiątki ton owego ziała (haszysz — to liście pewnego gatunku konopi) przedostają się nielegalnie przez granicę — z Syrii, Turcji i Palestyny.

Czy rządowi republikańskiemu uda się zwalczyć tę plagę społeczną? Kary są bardzo surowe — to prawda. Ale wydaje się, że nie tędy droga. Tylko przebudowując gruntownie ustrój gospodarczy kraju można uzyskać pozytywne wyniki. Znieść pozostałości systemu kolonialnego, wydobyć ze straszliwej nędzy i zacofoania masy pracujące — oto droga właściwa. Trzeba usunąć źródła tej plagi: ustrój nędzy i wyzysku. Problem narkomanii może być rozwiązany tylko w toku walki o prawdziwą demokrację i suwerenność narodową. Nowe państwa demokratyczne, które powstały w Azji po drugiej wojnie światowej, obalając system niesprawiedliwości społecznej usunęły przeciw szybko także i jego smutne pozostałości, do jakich należały narkomania i handel narkotykami.



Dźwięcznie dzwonią stalowe łomy kujące otwory w twardej lodowej tafli. Być może — ukrywa ona wielką ławicę.



O SNIEŻONA, bezkresna prawie powierzchnia skutego lodem jeziora żywo przypomina widoki dalekiej północy, choć jest to tylko jedno z mazurskich jezior — Łań. Ciemne zaś sylwetki ludzi, zajętych jakimiś dziwnymi czynnościami, to rybacy w czasie zimowych połowów pod lodem.

Zima bowiem, pomimo technicznych trudności, jakie stwarza lód i mróz, jest okresem najobfitszych połowów, ilościowo dających tyle, co pozostałe miesiące w roku. Dzieje się tak dlatego, że w zimie niektóre gatunki ryb tworzą olbrzymie nieraz ławice. Wędrują one w poszukiwaniu mrocznych głębin, tzw. toni, gdzie najłatwiej znaleźć żer. Ogarnięcie siecią takiej ławicy — marzenie każdego rybaka — daje nieraz za jednym zarzuceniem sieci kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt ton ryb.

Nie jest to oczywiście sprawa łatwa. Organizacja połowu wymaga wielkiego doświadczenia, doskonałej znajomości jeziora oraz zwyczajów jego podwodnych mieszkańców. Połów utrudnia także mróz, na którym sztywnieją sieci i liny, grabieją ręce rybaków.

Sam sposób połowu jest prosty. Najpierw toni otacza się pod lodem siecią, tzw. włóką, której długość często przekracza kilometr, a wysokość dochodzi do 30 metrów. Następny etap to ściąganie sieci i wydobycie jej na lód wraz z zawartością.

Rozwinięcie tak olbrzymiej sieci pod lodem wydaje się rzecz niezwykle skomplikowaną — mazurscy rybacy mają na to jednak prostą radę. Wykuwają w lodzie wielki przerebel w miejscu, skąd zaczną się zapuszczanie sieci, a dalej wokół toni mniejsze otwory — wreszcie jeszcze jeden przerebel, gdzie spotykają się przeciwległe końce sieci.

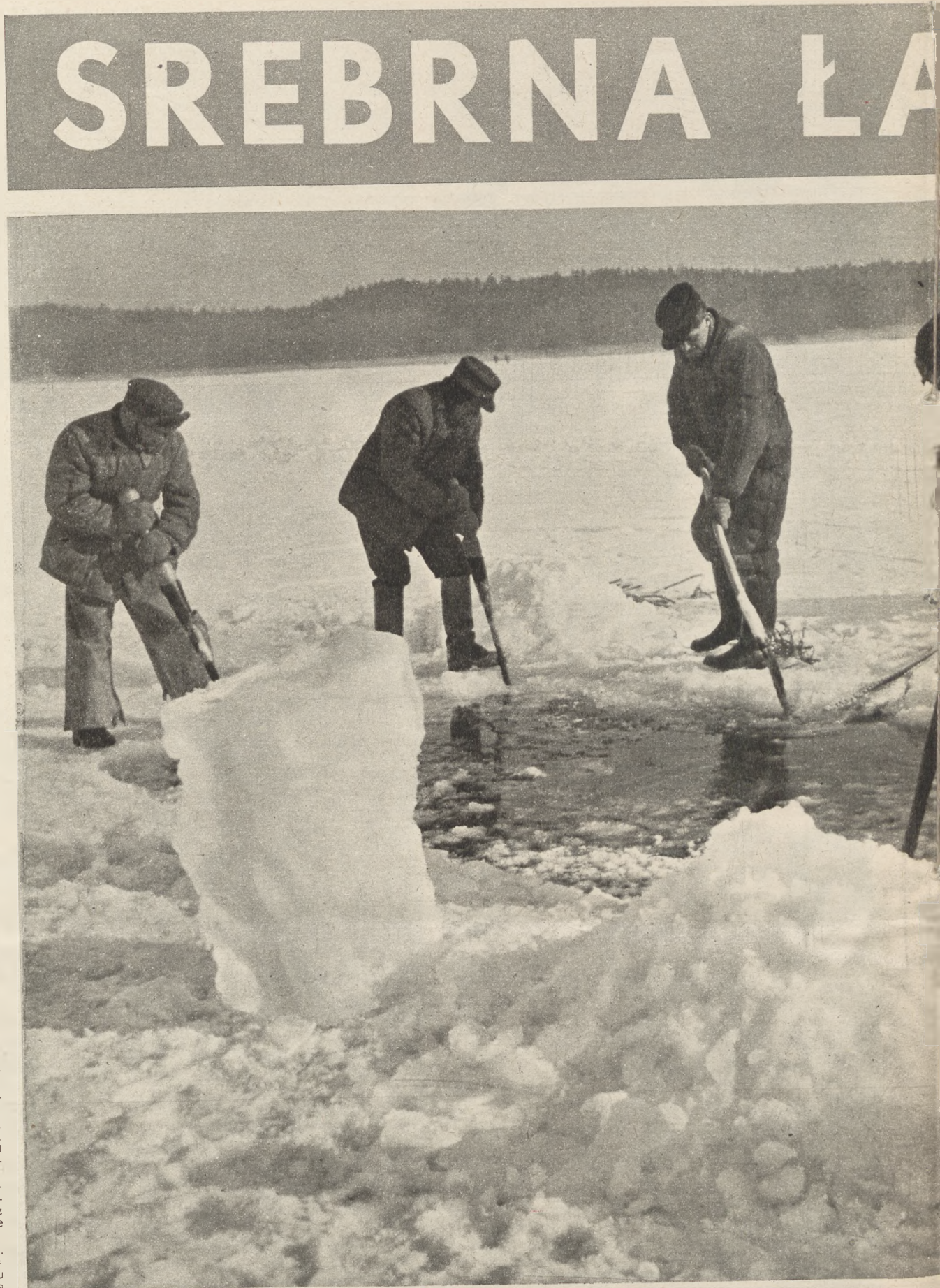
Do przeciągania sieci pod lodem służą długie drewniane tyki tzw. chochle z umocowaną do nich liną, która drugim końcem przywiązana jest do sieci. Chochle te jak igły ślizgają się pod lodem, popychane od otworu do otworu specjalnymi widelkami.

Do ściągania tak olbrzymiej sieci nie wystarcza już oczywiście siła ludzkich mięśni. Z pomocą ruszają windy. W końcowym przerebelu coraz gwałtowniej burzy się woda, coraz częściej też wśród białych bryzgów płany błyskają srebrzyste płocie, liny, leszcze.

Wreszcie ukazują się brzegi matni z kłębiącą się masą ryb. Połów skończony. Pozostaje już tylko posegregować ryby według gatunków i wielkości, i zapakować do skrzynek. Tu kończy się rola rybaków, na widownię wkracza Centrala Rybna — a to już jest mniej ciekawe...

KK

Rybacy otwierają swój podwodny schowek. Za chwilę ukażą się zatopione... sanie, a na nich starannie ułożony...



POCHYLENI DO PRZODU, JAKBY ZAWIESZENI NA LINIE, RYBACY CIAGNĄ SIEĆ. IDZIE CIĘŻKO, TO WIDAC WRÓŻY JEDNAK OBFITY POŁÓW, KTÓRY...



WICA



acki rynsztunek zabezpieczony przed działaniem mrozu.

WICIE WYNAGRODZI PONIESIONE CIĘŻKIE TRUDY.



Blżej brzegów jeziora, skryte przed podmuchami lodowatego wiatru za pasem trzciny, czekają już zaprzężone samie. Nastrozoną sierść koni pokrywa biały szron, woźnice „zabijają” ręce i skracają sobie rozmową czas oczekiwania.

Ostatnia pełna emocji chwila. W przeręblu burzy się woda. Ukazują się brzegi sieci pełne skłębionej polyskliwej masy ryb. Teraz praca idzie błyskawicznie. Skrzypią bębny wind ciągnących liny. Rybacy chwytają mocno brzegi sieci.



KARANDASZ i tygrysy

JERZY GRYGOLUNAS

„KARAN D'ASZ”

NAJPIERW spotkałem się ze słowem: karandasz. Podobało mi się. W języku rosyjskim karandasz znaczy ołówek. Później, kiedy zacząłem interesować się cyrkiem od strony teoretycznej, zdziwiło mnie, że pisownię pseudonimu sławnego clowna radzieckiego Michała Rumiancewa komplikuje się nie raz na sposób francuski: Karan d'Asz. Sądziłem, że tkwi w tym nieporozumienie. Cóż „Ołówek” na wspólnego z nic nie znaczącym „Karan d'Aszem”? Podejrzałem Rumiancewa nawet o snobizm, który i naszym artystom cyrkowym, może ze względu na wyższą ocenę, jaką publiczność zwykła obdarowywać aktorów zagranicznych — kazał sięgać do egzotyki obcego kraju. Wątpliwości rozwiązy się w Kijowie na Kreszczatiku, gdy zobaczyłem olbrzymi malowany na płótnie afisz z drobnym człowieczkiem w śmiesznym kapeluszu. Pod spodem metrowe litery oznajmiały: Karandasz. Po prostu: Karandasz. Jednak istniała tajemnica Ołów k'A. Poznałem ją później w muzeum leningradzkiego cyrku.

Ciekawa jest geneza postaci Karandasza. Rumiancew urodził się w roku 1906. W cyrku występuje od 1928. Karandasza zna ją wszyscy. Rumiancewa nieliczni. Różnią się oni między sobą bardzo. Łączy ich maleńki wzrost. Zdziwiający jest dystans, który dzieli cyrk od prywatnego życia: kiedy śledziłem w pokoju u Rumiancewa przypomniał sobie jak mu czarny kot przebiegł arenę, a on obejrzał się śmiesznie i splunął trzy razy na „koci urok”. Roześmiałem się. Rumiancew obrócił ku

mnie swą ponurą twarz i zaczępnie zapytał: — Z czego pan się śmieje? Musiałem go przeprosić najpoważniej jak tylko potrafię.

Znamy jednego smutnego komika, który podbił świat — Charlie Chaplina — z nim związane są początki kariery Rumiancewa. On też jak wiele naśladowców genialnego „Charlot” miał swój okres chaplinowski. Nim zdjął perukę „Rudego Wasi”, a potem melonik Chaplina, by włożyć swój śmiesznie zadarty czarny kapelusik, minęło siedem lat codziennych poszukiwań. Rumiancew długo wypracowywał metody, którymi Karandasz wzbudza śmiech. Sam pisał teksty, sam siebie reżyserował. Dawało mu to możliwości wprowadzenia do programu z dnia na dzień nowych numerów. Jeszcze raz potwierdza to tezę przywiązanej do komika publiczności: Karandasz żyje, obserwuje, co się dzieje w kraju i za granicą, podpatruje życie ulicy, wsi, biur i fabryk. Widz cyrkowy szedł często na Karandasza, aby dowiedzieć się, co do wieczora wysiedziło jego czujne oko. W tym oczywiście jest wiele przesady, jak w każdej legendzie o uwielbianym człowieku. Jednak dużo nowości wprowadził ten artysta do „clownady” cyrku radzieckiego, opierając swą sztukę przede wszystkim na tradycjach znakomitych clownów — satyryków rosyjskich: Witalego Łazarenki i braci Durowych: Włodzimierza i Anatola.

Blażnem pierwszy raz nazwał Rumiancewa nauczycielka w szkole podstawowej. Lubił obserwować życie już jako dziecko stojąc w oknie leningradzkiej sutereny. Śledząc wędrujące chodnikami nogi. W roku 1927 chciał dostać się na wydział aktorski Instytutu Filmowego. Nie został przyjęty. Bał się, że straci cenny czas młodości. Wstąpił do szkoły cyrkowej. Uczył się w klasie akrobacji. Niski wzrost utrudniał mu ciężkie ćwiczenia. W lecie uczniowie wyjechali na praktykę. W grupie Rumiancewa wolne było miejsce clowna. Zgodził się je przyjąć. Spośród starych cyrkowych kostiumów wybrał sobie strój Rudego. Jak przyjął pseudonim: Koko, Kiki, Max? Powszechna tradycja takich imion nie odpowiadała mu. Nazwał się z rosyjska: Rudy Wasia.

W tym czasie wędrowało po Europie wielu naśladowców Chaplina. W moskiewskim cyrku występował komik — ekscentryk Gesselbard. Pewnego dnia pozwolono Rumiancewowi zastąpić Gesselbarda. Nie udało się. Zrozumiał, że sztuka komika w cyrku polega nie tylko na ekscentryczności, ale przede wszystkim na oddaniu wewnętrznego wyrazu wszystkich celownowskich gestów, ruchów, słów, mimiki, tricków. Gdy na wiosnę szkoła znów wyruszyła na występy, Rumiancew mimo moskiewskiego niepowodzenia został w kostiumie Chaplina. W masce Rudego Wasi czuł się swobodniejszy. Kostium Chaplina krepował go. Nie ciągnęło go jednak do tradycji popularnych niegdys rudyh blażnów pomniejszających wartości człowieka, kpiących nie ze złych jego wad, ale żerując na niskich instynktach widowni, budzących śmiech według zasady „uderz mnie w mordę”.

Maska Charlie Chaplina, jak wielu naśladowcom genialnego komika, również i Rumiancewowi przyniosła wielkie powodzenie. Dlaczego? Była głęboko ludzka — nie omijała życia. Ale im bardziej Rumiancew pojmował sens swego miejsca na arenie, tym bardziej krepował go chaplinowski „wyraz”. Rozpoczął intensywne poszukiwania swej własnej postaci clowna, swego wyrazu, swego kostiumu, odrębnego niż wszystkie dotychczasowe, śmiesznego, interesującego. Ruszył na wólcę po dworcach i بازارach, podpatrywał typy ludzkie, kopiował ich ubiory, notował charakterystyczne cechy. Skończył szkołę w roku 1930. Egzamin zdał z klasy clownów, napowietrznej akrobacji, zonglerki i woltżerki. W dalszym ciągu grał Chaplina, a szukał siebie. Obserwował widownię, starał się jak najczęściej występować w programie, udoskonalał



Sławni radziecki pogromca dzikich zwierząt, Aleksandrow, ze swoim zespołem cyrkowym, złożonym m. in. z tygrysów „usuryjczyków” i „bengalczyków”.

tricki, badał, co w jego grze budzi najsilniejszy śmiech. Doszedł do wniosku, o którym zapominają polscy clowni i ich dyrekcje: komik cyrkowy musi być improwizatorem. Sytuacje, w których znajduje się na arenie, niespodziewana replika amfiteatru, wymagają od niego celnej, dowcipnej riposty, mogącej urosnąć do nowego, niezależnego, samodzielnego numeru. (Jak więc tu dyskutować o naszych clownach, którzy raz do roku wkuwają na pamięć teksty napisane przez satyryków?). Zrozumiał, że pora już pożegnać się ze sławną laseczką, melonikiem, niezgrabnymi butami i kusym fraczkiem Chaplina. Był rok 1935 kiedy narodził się Karandasz.

Rozpoczął się jego własny, pełen sukcesów i rozwoju okres twórczy. Dwadzieścia blisko lat żyje Karandasz, śmiejesz, wyśmiewa, atakuje, wzrusza. Wydaje mi się, że czas jego największych triumfów minął już: najostrejszy ołówek musi kiedyś stępieć. Rumiancew ma pięćdziesiąt lat. W tym wieku często zaczyna się tragedia clowna, którego nie ogranicza się jedynie do słowa i gestu, ale posiada zaplecze w akrobacji, zonglerce i innych specjalnościach cyrkowych.

Podczas drugiej wizyty u wielkiego komika poprosiłem, by opowiedział o swych sławnych wojennych programach satyrycznych. Przypominał: Gdy Niemcy stali pod Moskwą wnosiłem na arenę mikrofon, stawiałem go przed małą mównicą, na którą wbiegał mój piesek Puszek w czarnym fraczku z białym gorsiem i zjadł szczekał do mikrofonu. Potem ja zwracałem się do widowni: Minister Goebbels skończył swą mowę przeciwko ZSRR. Kiedy indziej wyśmiewałem tych, którzy odpowiedzialność za bumelanctwo zrzucał na wojnę. Wchodziłem na arenę z miotłą i ciskałem ją pod nogi dyrektora Busze. Nawiażywała się krótka rozmowa:

- Podnieście miotłę.
- Nie mogę.
- Dlaczego?
- Przecież jest teraz wojna!

Opowiedział mi o hitlerowskim czołgu — beczce: wjeżdżał w nim na arenę w czasie faszystowskiego marszu na Moskwę; o cyrkowej pantominie „Czasy i dzieci” i wielu numerach, których echa dotarły już do mnie, zanim poznałem Karandasza i jego sztukę.

Tak mnie pożegnał: „Humor na arenie winien być prawdziwy i świeży, jak w życiu. Człowiek przychodzi do cyrku odpocząć, zabawić się, pośmiać

z komicznych żartów, z mądrego dowcipu, z satyrycznej scenki. Na arenie musi zawsze rozbrzmiewać dobry, radodny śmiech”.

Uściskałem małą dłoń artysty. Naprawdę nie mógł znaleźć lepszego pseudonimu: Ołówek. Dziecięcych widzów cenil w cyrku nie mniej niż dorosłych: chciał, by pseudonim był dla nich śmieszny i bliski. A ołówek jest przyjacielem dzieci, towarzyszem ich zabaw. Znalazł „go” zupełnie przypadkowo. Raz wybrał się do muzeum cyrku leningradzkiego. Podobnie jak ja odkryłem tam wspaniałe oryginały litografii Toulouse-Lautrec'a z teki cyrkowej, tak Rumiancew odkrył albumy karykatur sławnego Karan d'Asza (Emmanuel Poire, pseud. Caran d'Ache — karykaturzysta francuski, urodzony w Moskwie 1858—1909). Tajemnica Ołów k'A się wyjaśniła!

Tak Rumiancew — Rudy Wasia i Charlie Chaplin — został Karan d'Aszem, a później po uproszczeniu pisowni francuskiej, po prostu Karandaszem. Ostatni raz widziałem go przed kijowskim hotelem „Ukraina”. Siedział w samochodzie. Ukłoniłem się. Krzyknął:

— Wyjeżdżam do Soczi!

Oczy mi zabłyśły. Tam przecież jest teraz 25 stopni ciepła!

— Na plażę?

— Będę polował na tygrysy.

Samochód zniknął na Kreszczatiku. Oczywiście Karandasz żartował. Tygrysów w Soczi nie ma. Chyba, że będą aktorami w najnowszej filmowej komedii radzieckiej, w której — jak mi później mówiono — główną rolę gra Karandasz. Pojechał na zdjęcia do Soczi. Tygrysy były natomiast w cyrku leningradzkim.

TYGRYSY

Jest ich pięć: Radza, Tarzan, Cezar, Akbar i Bembi. Dziko prężą się na arenie cyrku, albo wylegują w oddzielnych klatkach, leniwe koty, na pozór obojętne na to, co się wokół dzieje: na

Rumiancew — „Rudy Wasia”. 2. Karandasz i Puszek roli Goebbelsa. 3. Rumiancew — Charlie Chaplin. 4. Rumiancew — „Karandasz”.



zenie stojących w stajni koni, na czekanie psów, na okrzyki artystów, na oklaski widzów siedzących w amfiteatrze. Poprzedniego dnia widziałem je podczas występu: Cezar — najstarszy, dziewięcioletni „aktor trupy drapieżników” — balansował na kuli i skakał przez poprzeczki, czteroletni Akbar rzucał się przez oklejone papierem koło, jego rówieśnik Bembi chodził po bumie, stawał na tylnych łapach i skakał z Radzą przez płonącą obręcz. Leniwy Tarzan, brat rodzony Radży, miał najmniejszą rolę: uczestniczył tylko w piramidzie tygrysów. W Rydze, podczas nakręcania filmu, rozszluszczony reflektorami i szumem aparatu rzucił się na pogromcę. Aleksandrowa uratowało od śmierci opanowanie.

Radza i Tarzan są tygrysami usuryjskimi. Cezar, Akbar i Bembi pochodzą z wilgotnych, błotnistych dżungli. Nim zostały schwytane i przywiezione do Europy — „usuryjczyków” i „bengalczyków” dzieliły tysiące kilometrów, miały inne obyczaje, otaczała je odrębna przyroda. Bengalski tygrys żyje w tropiku, często podchodzi do osiedli człowieka, napada na bydło i ludzi. Usuryjski krewny „bengalczyk” żyje w odludnych okolicach wśród gęstej wysokiej trawy, nad brzegami rzek dzikiej tajgi. Tygrysy z Bengalu śnieg zobaczyły dopiero w niewoli. Radza i Tarzan zostały schwytane dwunastego stycznia w roku 1953 w zaspach śnieżnych górskiego biegu rzeki radzieckiej Tundo-Baka. W styczniu r. 1954 występowały już na arenach cyrku. Tylko dwanaście miesięcy pogromca Aleksandrow uczył się słuchać człowieka.

Obserwator tresury wielkich drapieżników ma często wątpliwości: czy rzeczywiście niebezpieczeństwo czyha na pogromcę, gdy otoczony swymi „pupilami” stoi między nimi bezbronny, zdany na zwierzęcą łaskę. Bywa, że obserwator patrzy na arenę i ziewa ze znużenia — wie przecież, że pogromcy nic złego się nie stanie; zdarza się, że obserwator drży ze strachu o życie trenera. Rzecz to „psychicznego usposobienia” widza cyrkowego: przeraża go na arenie ryk potężnego kota, albo wierzy w logikę i precyzję sztuki cyrkowej — sądzi, że rola czworonożnego „aktora” w tym momencie przewidywała głuchy, groźny ryk. Jest to jedna z tajemnic areny, którą obserwator pozna, gdy kilka dni z rzędu będzie przyglądał się opisom radzieckiego Aleksandrowa, czy polskiego Wawrzyniaka.

Byłem kiedyś w Warszawie świadkiem pojedynku trenera Wawrzyniaka z lwem. W tym samym tygodniu dwa razy oglądałem trupe jego lwów. W niedzielę zwierzęta zachowywały się potulnie, wykonywały bez sprzeciwu wszystko co chciał pogromca. W czwartek najstarszy z nich, prawdziwy król puszczy, ruszył do ataku. Człowiek był całkowicie bezbronny — lew miał siłę łap, noże pazurów i zębów. Patrzył wyzywająco, bił ogonem o piasek areny, rzycał. Obserwowałem twarz Wawrzyniaka, zmagania oczu człowieka i zwierzęcia. Czoło trenera pokrywało się kuleczkami potu, powtarzał rozkazy zdecydowanie, uparcie, bezskutecznie. Publiczność biła brawo, śmiała się, jedni jak w rzymskim amfiteatrze byli pełni zachwyty dla widowiska, drudzy spazmatycznie zaciskali palce na poręczach krzeseł. Zależę się, że nie znali przyczyny uporu piewnego drapieżnika. Też jej nie znałem, ale przez kilka minut byłem pewny, że nigdy już nie uściskę ręki Wawrzyniaka. Tego dnia aktor-lew zagrał nową rolę!

O niebezpiecznych humorach lwów, tygrysów, lampartów i panter wspominał mi Aleksandrow, gdy przechadzałyśmy się między klatkami „bengalczyków” i „usuryjczyków”: „Mają one duże wariaty, trzeba się z nimi obchodzić jak z jajkiem kolibra, biada temu, kto okaże przy nich swą słabość”. Tyle właściwie o tygrysach. Człowiek tu jest ciekawszyszy.

Aleksandrow został pogromcą dzikich zwierząt w roku 1939. Przedtem był napowietrznym ekwilibrystą. W roku 1935 wystąpił we wspaniałym niebezpiecznym numerze: „Wyścigi samochodów pod kopułą cyrku”.

Od piętnastu lat pracuje z najgroźniejszymi drapieżnikami: czarnymi panterami, lampartami i tygrysami. Wypracował swe własne metody tresury — konsultował je z pracami uczonych na temat psychologii życia i obyczajów zwierząt.

Podziwiać trzeba odwagę trenerów. Trudno tu mówić tylko o opanowaniu — raczej o genialnym opanowaniu — niespotykanym opanowaniu w wielkiej sztuce przemiany drapieżników w owce. Aleksandrow zwierzał się: Trzeba umieć rozmawiać ze zwierzętami. Na pewno zna on tę jedną z największych tajemnic.

Z HERAKLITEM W SZCZECINIE

JERZY WALDORFF

ZYCIE każdego z nas dzieli się na radości i smutki, osiągnięcia i zaniedbania, które budzą wstyd większy lub mniejszy. Do moich wstydwów zaliczam i ten, że nie znałem tak długo Szczecina. Mimo dziesięciu sposobnych lat nie było przyczyny dość nagłej, bym zawędrował w ten najbardziej zachodni kąt Polski. Byli nawet ludzie, którzy ostrzegali: „Szczecin? Po cóż miałby pan tam jechać?... — Ruina, dzicz, resztki inteligencji uciekły dawno z powrotem do centrum kraju”. Jeszcze i teraz, kiedy się wreszcie zdecydowałem, słyszałem podobne opinie o celu mojej podróży.

W Szczecinie jest tak, że z dworca wychodzisz wprost na Odrę. Ostatni gwizd lokomotywy łączy się z pierwszym jękiem syreny okrętowej, który odbija się długim echem po zamglonej zimą wodzie. Mgła nadziewana jest mewami, czuć z lekka smarem i rybą, owymi przyprawami do tęsknoty za przestrzenią, chwytającej każdego przybysza w każdym porcie. Ale w Szczecinie uderza z miejsca jeszcze coś innego: spokój i gospodarczy porządek, który przywodzi na myśl schłodzone porty ze skandynawskich powieści.

Lecz wracajmy do celu owej podróży! Jechałem żenić przyjaciela, więc nazajutrz spotkaliśmy się w Urzędzie Stanu Cywilnego, który mieści się tutaj w prawym skrzydle bardzo wspaniałego barokowego pałacu. Czekaliśmy długo, gdyż dużo ludzi chce się żenić w tym odległym Szczecinie. Aby skrócić pobyt w cywilnej kruchcie, przed dojściem do cywilnego ołtarza, pan młody bawił nas jak potrafił.

— Spójrzcie! — wskazał przez okno na lewe skrzydło pałacu. — Tam mieści się szczecińska Filharmonia.

— Filharmonia?... — zdumiałem się nieco drwiąco, bo jakaż tu mogła być Filharmonia.

Ślub odbył się z należytą powagą, po czym udaliśmy się na weselne śniadanie. Aliści Filharmonia Szczecińska utkwiała mi w pamięci i postanowiłem ją odwiedzić.

„DON CARLOS” I ZŁE MITY

Ci, którym leży na sercu muzyka symfoniczna w naszym kraju, dzielią się na dwa obozy. Pierwszy chciałby, abyśmy — w braku muzyków i instrumentów — mieli tylko trzy, cztery, lecz za to bardzo dobre orkiestry. Drugi po-

chwala to, co jest — że mamy aż 20, choć w większości słabych, zespołów. Bo z dwudziestu słabych można się dochować dwudziestu dobrych, a trzy choćby najlepsze orkiestry zostaną zawsze tylko trzema. Byłem zwolennikiem drugiego obozu i pobyt w Szczecinie utwierdził moje zapatrywania w tym względzie.

Orkiestra szczecińska istnieje od sześciu lat. Stworzona przez miejscowe Robotnicze Towarzystwo Muzyczne, rozwinęła się do składu 50-osobowego i wreszcie — w styczniu roku 1954 — została upaństwowiona i opatrzona oficjalnym tytułem Filharmonii. Na czele jej stoją dwaj zdolni, młodzi muzycy: dyrektor-dyrygent M. Lewandowski i dyrygent W. Pawłowski. Zespół jest w 30% młodzieżowy, więc wraz z dyrekcją bardzo zapalony do pracy. Z pewnością jego grupa instrumentów blaszanych i zwłaszcza drewnianych brzmi słabo. Lecz tu można by już wiele pomóc, fundując Szczecinowi komplet nowych, jednakowo strojących instrumentów, co podwoiłoby zapal instrumentalistów i przyspieszyło artystyczny awans placówki.

A odbiorcy, repertuar?... — To są ciekawe i bardzo znamienne sprawy!

Proporcje frekwencji — jak mnie poinformowano — są takie: na dobry koncert symfoniczny reflektuje każdorazowo już około 500 szczecinianów. Na dawaną co kwartał estradowo, lecz w pełnej wersji operę („Halka”, „Faust”, „Cyganeria”, „Butterfly”, „Cyruklik”) chciałyby się dostać 3.000 osób do sali na 600 miejsc. „Mazowsze” może liczyć w Szczecinie na 10.000 słuchaczy.

Czy to znaczy, że im lżejszy repertuar, tym więcej amatorów? Nie! — To raczej sprawa podziału na „klasy” odbiorcze, zwolenników takiego lub innego gatunku muzyki. Lecz w każdej „klasie” także i w Szczecinie ludzie domagają się utworów najwyższej jakości. Wśród kompozycji symfonicznych rekordy powodzenia biła tam jakże piękna, ale i trudna V Symfonia Szostakowicza. Równocześnie w teatrach dramatycznych Szczecina najwięcej przedstawień, bo ponad sto, osiągnął... „Don Carlos” Schillera.

Te dane szczecińskie potwierdzają jeszcze raz błędność tezy złych polityków od kultury, których zdaniem masy w kraju chcą li tylko sztuki łatwej, bo są zbyt mało wyrobione, aby rozumieć wielki repertuar.

Jest przeciwnie: ambicje naszych liczą-



Maria Koterbska, to cały problem w dziedzinie naszego piosenkarstwa.

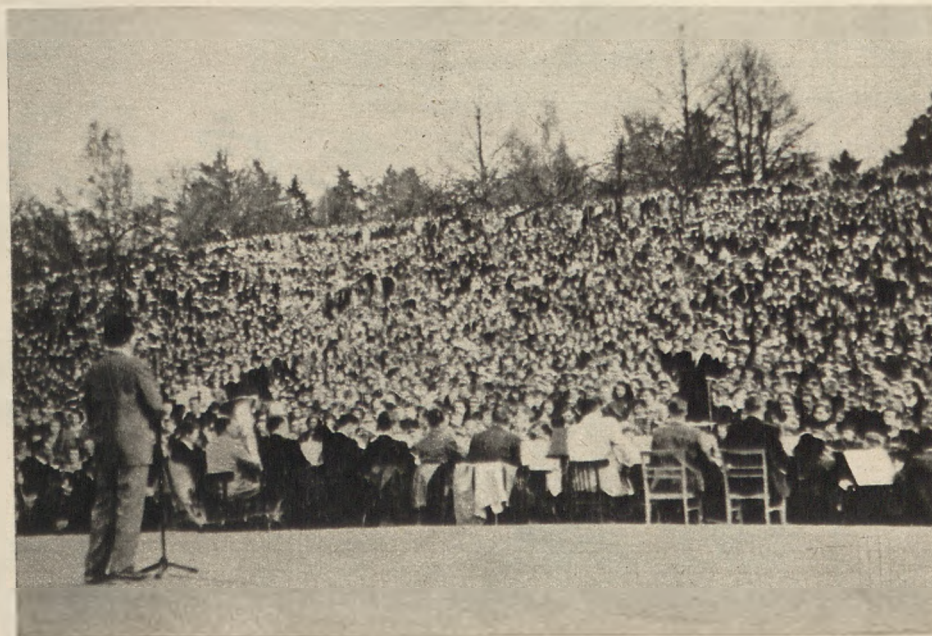
nych, młodych zespołów symfonicznych idą równolegle z rosnącymi wymaganiami społeczeństwa, a takim dwóm dźwięgom można zaufać muzyce.

„DZIKI ZACHÓD”

Upředzono mnie zatem, że w Szczecinie natknę się na „dziki zachód”, chuliganerię i Bóg wie co. Tymczasem żyłbym w Warszawie, żeby była przede wszystkim w połowie tak czysta jak Szczecin, choć i jemu potężnie dostało się od wojny. Jednym bezsensownym bombardowaniem Anglii znieśli z powierzchni ziemi całe bogate w zabytki szczecińskie Stare Miasto, a sąsiednie dzielnice też świecą gęsto szczerbami. Lecz nie tylko gruzi zostały pięknie uprzątnięte — także zamieszkałe ulice są dziś tutaj wzorem ładu, świadectwem kultury mieszkanców.

Dzielnica Pogodno to szczeciński Żoliborz, tylko o wiele ładniejszy i rozleglejszy. Jechałem na Pogodno tramwajem, w tłoku iście warszawskim. Zgnieciona i zdenerwowana konduktorka ofuknęła któregoś z pasażerów: „Niech pan wejdzie do środka, że tak muszę powiedzieć!”. — Obawiam się, iż w warszawskim środku publicznej lokomocji ten typ utarczki słownej brzmiałby nieco inaczej: „Ty, taki owaki”, po czym nastąpiłoby dopiero: „żem zmuszona powiedzieć!”. Klójące się w tramwaju obywatelki Warszawy złośliwy A. M. Swinarski tak raz uszerogował do wyjścia: „Najpierw wysiada pleć pyskata, potem pleć piękna”. Przebywając ze mną w Szczecinie, Swinarski nie był prowokowany do tego rodzaju admonicji.

Natomiast byliśmy na arcyciekawym, poczętym w Szczecinie nowym typie imprezy rozrywkowej pt. „Bawmy się razem”. Rzecz wyglądała z grubsza w ten sposób, że prócz występu orkiestry jazzowej, satyryków i śpiewaków na scenie odbywał się konkurs dla publiczności. Inteligentny konferansjer, młody aktor R. Pietruski, zapraszał widzów na mały egzamin z historii. Pytania m.in. były takie: „Pierwsza u nas reforma rolna w rodzinie królewskiej?”



Do późnej jesieni koncerty Filharmonii Szczecińskiej w pięknym parku imienia Jana Kasprowicza ściągały stale, mimo chłodu, po kilkanaście tysięcy ludzi.

FILMY i SŁOWA



BESTIA LUDZKA (1938) JEAN GABIN I JULIEN CARETTE

ROK 1926. „Nana” — dosyć swobodna adaptacja powieści Zoli. Pierwszy film, w którym Renoir wprowadza na ekran elementy narodowego stylu francuskiego.
„Uświadomiłem sobie, że istnieje możliwość porozumienia się z widzem przez tworzenie dzieł oryginalnych, opartych na tradycjach francuskiego realizmu. Zaczęłem oglądać się wokół siebie i odkryłem wielką ilość swojskich elementów, łatwych do przetłumaczenia na język filmowy. Spostrzegłem, że ruchy wykonywane przez praczkę czy przez kobietę przed lustrem — posiadają często nieporównany wprost walor plastyczny. Przeprowadziłem coś w rodzaju studium gestu francuskiego na podstawie obrazów mego ojca i malarzy jego pokolenia”

ROK 1928/9. „Dziewczynka z zapawkami” — film awangardowy, zrealizowany przy pomocy bardzo skromnych środków technicznych i finansowych, na strychu kina „Theatre du Vieux Colomier”.

ROK 1929. Trzy filmy nieme, każdy w innym rodzaju:

Wodewil „Tire au flanc”, w którym występuje po raz pierwszy w większej roli świetny aktor Michel Simon.

„Film komercyjny, nakręcony bardzo prędko, w ramach bardzo skromnego budżetu”.

Film historyczny „Turniej w mieście”, nakręcony w Carcassonne.

„Nie pamiętam już tego filmu, ale sądzę, że byłem wtedy za młody, by wyzwolić się od pewnej „sztaampy” filmów kostiumowych”.

Film „Le Bled” (pustynia afrykańska), zrealizowany przy współudziale rządu dla uczczenia setnej rocznicy zdobycia Algeru.

„Nie przypuszczam, by film był dziś wiele wart, ale dzięki niemu odkryłem Alger. Prawdopodobnie od tej chwili datuje się moje żywe zainteresowanie narodami, które umieszczamy pod dość ogólnikową etykietką „Wschód”

ROK 1931. Pierwszy dźwiękowy film Renoira „Dano dziecku na przeczyszczenie” według sztuki Feyda.

„Mój pierwszy film dźwiękowy był czymś w rodzaju egzaminu. Nakręciłem go w cztery dni, chociaż ma długości 2 000 metrów”.

W tym samym roku Renoir tworzy swój pierwszy ostry i realistyczny film — dramat obyczajowy „Suka” (La chienne) według powieści La Fouchardiere.

„Zrobiłem taki film, jaki chciałem. Jaki sobie wymyśliłem”.

LATA 1932 — 1933. Wprawki do późniejszej, dojrzalej twórczości:

„Noc na rozdrożu”, „Boudu — wyratowany topielec” i „Chotard i spółka”.

LATA 1934 — 1939. Najświetniejsza epoka twórczości Jean Renoira.

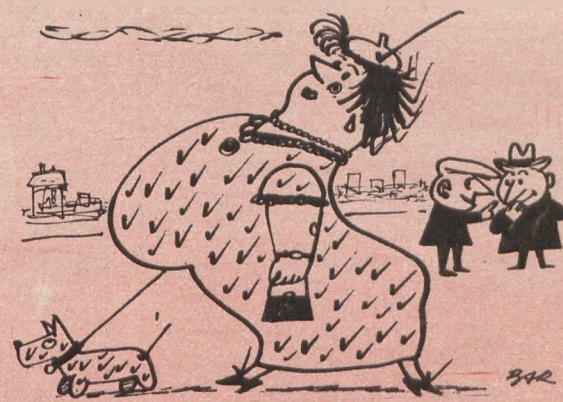
Oto jego artystyczne credo:

„Do tej pory nie zawsze rozumiałem, że człowiek więcej jeszcze niż swej rasie zawdzięcza ziemi, która go żywi, i warunkom życia, które kształtują jego ciało i umysł. Zawdzięcza pejzażom, które przez cały dzień ogląda.

Do tej pory nie zawsze rozumiałem, że Francuz, który mieszka we Francji, pije czerwone wino i je biały ser Brie, mając przed oczyma



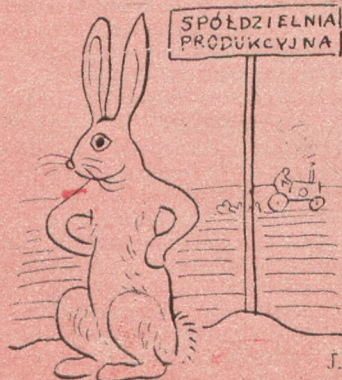
rys. Barbara Baro



rys. Karol Baraniecki

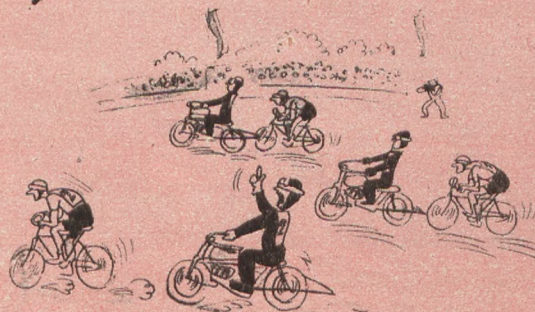
To żona naszego dyrektora, znanego odfajkowicza

* Wesołych Świąt *



rys. Jantar

— Gdzie mamy się podziać, jak oni zaorali miedzę?



rys. Charlie

— Bez głupich kawałów, może byś zaczekał?!...



Ja jednak myślę, że one są przetrenowane...



JEAN RENOIR KIERUJĄCY PRODUKCJĄ „JULIUSZA CEZARA” W ARLES

szary zmierzch paryskich ulic, nie może tworzyć dzieł wartościowych, jeśli nie sięga do tradycji ludu, który żyje w takich jak i on sam warunkach”

ROK 1934. „Madame Bovary” — interesująca, chociaż bardzo osobista, interpretacja filmowa powieści Flauberta. W roli tytułowej — Valentine Tessier, znana warszawskiej publiczności z uroczystości jubileuszowych ku czci Ludwika Solskiego.

„Toni” — film o sezonowych robotnikach rolnych, włoskich i hiszpańskich, pracujących na południu Francji. Mocne akcenty krytyki społecznej.

Reżyserując „Toni” wiele się nauczyłem. Film ten dał mi konieczną odwagę szukania nowych dróg”

ROK 1935. „Zbrodnia pana Lange” — historia spółdzielni, którą zakładają pracownicy zbankrutowanej prywatnej firmy wydawniczej. Film o ostrych akcentach antykapitalistycznych i antyklerykalnych. Scenopis i dialog — poety Jacques Prevert, stałego współpracownika reżysera Marcela Carne.

ROK 1936. Renoir zakłada razem z krytykiem filmowym Leonem Moussinac lewicową organizację filmową „Cine Liberte”. Bierze czynny udział w organizacji i pracach Frontu Ludowego. „Życie należy do nas” — przedwyborczy film propagandowy zrealizowany dla Francuskiej Partii Komunistycznej przez grupę młodych filmowców pod kierunkiem Renoira.

„Na dnie” — interesująca, chociaż dyskusyjna przeróbka filmowa dramatu Maksyma Gorkiego.

„Wycieczka na wieś” — niedokończona adaptacja filmowa noweli Maupassanta. Operatorem filmu jest bratanek reżysera, Claude Renoir, pierwszym asystentem — Luchino Visconti. Dwa skończone fragmenty filmu zmontował w roku 1940 — Jacques Becker. Premiera filmu dopiero w 1947 roku.

ROK 1937. „Marsylianka” — film finansowany przez CGT — francuską centralę klasowych związków zawodowych.

„Ludzie, którzy zrobili Rewolucję, może zadziwiają widza swą zwyczajnością i prostotą, ale wierzę, że publiczność znajdzie w nich przyjaciół i nie będzie żałować oślich retoryków, których narzucała nam od wielu lat zła tradycja”.

„Wielkie złudzenia” (La grande illusion) — jeden z nielicznych filmów Renoira wyświetlany przed wojną w Polsce pod tytułem „Towarzysze broni”, z dużymi zresztą skrótami wprowadzonymi przez sanacyjną cenzurę.

„Ponieważ jestem pacyfistą stworzyłem „Wielkie złudzenia”. Wojna — to właśnie wielka iluzja, dająca wiele obietnic — nigdy nie dotrzymywanych i wiele nadziei — nigdy nie zrealizowanych”.

„Jestem przeświadczony, że pokazując na ekranie całą prawdę, bez żadnych deformacji, pracuję dla ideałów postępowych”.

ROK 1938. „Bestia ludzka” — adaptacja powieści Emila Zoli. Świetna kreacja Jean Gabin w roli maszynisty kolejowego Lantier.

ROK 1939. Ostatni i najlepszy zarazem film Renoira zrealizowany we Francji — „Prawidła gry” (La Regle du jeu). Ojcami chrzestnymi filmu są Alfred de Musset (Kaprysy Marianny) i Beaumarchais (Wesele Figara).

„Wydawało mi się, że publiczności podobać się będzie ta historia. Sądziłem, że to bardzo wdzięczna, grzeczna powieść, mówiąca przy tym prawdę o ludziach naszych czasów i o „towaryszkich sferach” naszej epoki. Miałem wrażenie, że opowiadam historię prawdziwą w sposób zabawny, zamiast opowiadać ją w sposób poważny i krytyczny. Inaczej mówiąc — miałem wrażenie, że jeśli postuguję się biczem, to tylko bawiąc się, bez bicia ludzi mocno po twarzy. Okazało się, że się omyliłem — ponieważ ludzie przyjęli w ten sam sposób film, jak przyjmuje się uderzenia białą”.

Georges Sadoul w ten sposób charakteryzuje „Prawidła gry”: Film demaskujący zgniliznę francuskich wyższych sfer — „Obraz makabryczny i tragicomiczny zarazem, ale prawdziwy, i dlatego wygładzany przez publiczność na Champs Elysees”.

ROK 1940. Już podczas wojny zaczyna Renoir realizację filmu „Tosca” we Włoszech. Wypowiedzenie wojny przez Włochy przerywa produkcję. Film kończy asystent Renoira Carl Koch.

ROK 1941. Renoir opuszcza Francję, udając się do Stanów Zjednoczonych. Na emigrację wyjeżdża wielki francuski reżyser, o którym mówił Maurice Thorez: „Nasz wielki przyjaciel, który dał nam „Życie należy do nas”, „Zbrodnię pana Lange”, „Marsyliankę” i „Wielkie złudzenia”.

Opuszcza ojczyznę artysta, który w roku 1938 w ten sposób sformułował swoje credo:

„Wiem, że jestem Francuzem i że muszę tworzyć w duchu narodowym. I wiem również, że w ten sposób tworząc i tylko w ten sposób, mogę przemawiać do ludzi innych narodów i dać dzieła naprawdę międzynarodowe”.

I.ATA 1941 — 1948. Jean Renoir pracuje w Ameryce, w Hollywood.

„Dla utorowania sobie drogi w dżungli jest rzeczą wskazaną walić na oślep kijem, aby oddalić niewidzialne niebezpieczeństwa. Czasem kij napotyka na twardą gałąź i łamie się w rękę, czasem pozostaje nietknięty, ale ręka słabnie od uderzenia. Oto co robiłem w ciągu ostatnich paru lat. Nie chciałem pozostawiać na miejscu. Wędrowałem, ale strzałka mojej busoli zwiariowała i często trudno mi było znaleźć właściwy kierunek marszu”.

Jedyny udany amerykański film Renoira — „Człowiek z Południa” (The Southerner).

„Historia biednej rodziny plantatorów — rodziny, która rodzi się, rośnie i umiera”.

Filmy mniej lub więcej nieudane: „Tragiczne jezioro” (1941), „Życie wolnym” (1942/3), „Pozdrowienie dla Francji” (1944), „Pamiętnik pokojówki” (1946), „Kobieta na plaży” (1946).

ROK 1949. Renoir w Indiach realizuje barwny film „Rzeka”. Film ten stanowi wyraźny odwrót reżysera od koncepcji realistycznych. Zamiast buntu i protestu — mistyczna rezygnacja.

ROK 1951. Po dziesięciu latach nieobecności Jean Renoir zjawia się we Francji. Ale pierwszy swój film w Europie realizuje nie w Paryżu, a w Rzymie. Jest to „Złota karoca”, film w trzech wersjach — francuskiej, włoskiej i angielskiej, według sztuki Prospera Merimee.

„Oddaliłem się bardzo od tekstu Merimee. Problem polegał na tym, w jaki sposób kino może „strawić” teatralną ideę. Wydaje mi się, że tekst powinien mieć w filmie coraz większe znaczenie. Trzeba poprawić jego jakość, dać mu większą literacką wartość”.

DZIEŃ DZISIEJSZY — Ani „Rzeka” ani „Złota Karoca” nie nawiązują do dawnych, realistycznych filmów Renoira. Czyżby wielki reżyser zerwał na dobre z realizmem, wyrzekł się swych dawnych ideałów?

Definitywną odpowiedź na to pytanie da przyszłość — nowe filmy Renoira.

Pewną jednak wskazówką może być to, co powiedział w czerwcu br. Renoir swoim młodszemu kolegą, studentom paryskiej szkoły filmowej (IDHEC).

„Zrobiłem dużo filmów w stylu „zewnątrznego realizmu”. Próbowalem pokornie — być może nie zawsze mi to się udawało — włączyć również do moich filmów „realizm zewnętrzny”. Muszę wam się przyznać, że w gruncie rzeczy — ten realizm zewnętrzny był zawsze środkiem dotarcia do realizmu wewnętrznego. Wydawało mi się, że jeśli opowiadać będę historię przaczki — to umieszczając tę przaczkę w pralni z żelazkiem w rękę, ubraną tak, jak rzeczywistość jest ubrana, kiedy zabiera się do prasowania koszul — to wydawało mi się, że dzięki stosowaniu tych zewnętrznych atrybutów — będę mógł uchwycić trochę tego, co dzieje się w duszy przaczki. Ale wiem przecież, że naprawdę wielcy ludzie — Chaplin, Szekspir, Moliere, nie potrzebują stosować tego zewnętrznego realizmu i mogą naprawdę dobrze, intymnie poznać przaczkę bez postugiwania się autentycznym żelazkiem do prasowania”.

A więc jednak realizm!

Wybrał i opracował do druku JERZY TOEPLITZ



Przełożył: ARTUR MARIA SWINARSKI

Był pudel, perla w pudłów nacji,
i zwał się Brutus nie bez racji.
Istota wierna, przywiązana
i kochająca swego pana.
Dla jego cnoty, dla mądrości,
skromności oraz uczciwości
i dla dobrego obyczaju
stawiono pudła w całym kraju,
pochwalnych mu nie szczędząc słów;
„To Natan — mędrzec pośród psów!”

Więc mógł właściciel darzyć śmiało
mądrego psa ufnością całą,
posyłać nawet do rzeźnika,
a rzeźnik kładł mu do koszyka
pierwszą krzyżówkę, siekaninę,
kielbasę, schab i baraninę.
I choć zapachy nęca, kuszą,
nie skuszą psa z szlachetną duszą.
Brał koszyk w pysk i niósł do domu,
niczego nie tknął po kryjomu,
i nawet nie obliżał kości
ten rzadki okaz uczciwości.

Ale bywają psy — i psiska,
wyrzutki psiego środowiska,
(jak między nami...) aspołeczne,
zawistne kundle i wszeteczne,
psy — darmozjady, psy — batiary,
parszywe psy bez czci i wiary,
co tylko kraść, co tylko brać,
gryźć i rabować — psia ich mać!

Nasz Brutus, kwintesencja cnoty,
był solą w oku tej hołoty.
Więc kundel z kundlem, szuja z szują
już się zwąchały, już coś knują...

I stało się pewnego dnia,
że lotry obstały psa,
Gdy pies nie przeczuwając spisku,
ciężarny koszyk dźwigał w pysku.
Biorące udział w spisku psiska
wydarły kosz pudłowi z pyska,
aż posypały się na bruk
mięso i kości (w kościach tuk):
tu spadła szynka, a tam klops.
Klops złapał wyżeł, szynkę mops,
zeberka brytan... Sfora cała
na koszt Brutusa ucztowała.
W rynsztoku tylko schab ocalał,
choć trochę błotem się powalał.

A Brutus, z miną filozofa,
pomyślał: „Trudno! Katastrofa”.
Lecz kiedy widzi, jak te zbójce
żrą i jak zbójcom żer smakuje,
jak mu pod nosem tłuste kęski
zmiatają sprawcy jego klęski,
łup wydzierając sobie z łap —
załamał się i cap za schab!
Brutus, niepomny, że to tabu,
funt wieprzowego spożył schabu.

MORAL

„I ty, Brutusie? I ty też —
narzeka moralista — żresz?”
Zły przykład wiedzie na bezdroże.
Pies najcnotliwszy zgrzeszyć może.
Bo co jest ludzkie, jest i psie.
Stworzenie doskonałe... żre!

Rysował: IGNACY WITZ



RAWIA też, o królu szczęśliwy, że w pradawnych czasach, zamierzających stuleciach i epokach, żył na ziemi Persów król, Szahrimanem zwany, mieszkawiec Chorastanu. Miał on sto nałożnic, ale nie obdarzył go one przez życie całe ni synem, ni córką. Dnia pewnego, kiedy rozmyślał nad tym, smutek nim owładnął, że oto minęła większa część życia jego, a nie został obdarzony synem, który dziedziczyłby po nim królestwo, jak on je odziedziczył po ojcach swoich i dziadach.

Gdy siedział tak pewnego dnia, nadszedł doń mameluk jego i rzekł: „O, panie mój! U bramy stoi niewolnica z kupcem. Nie znaleźć piękniejszej“. Odrzekł mu: „Wezwij do mnie kupca tego z niewolnicą“. Przybyli kupiec i niewolnica. Spowijał ją izar z jedwabiu złotem haftowany. I odsonił kupiec twarz jej i wszystko rozblysło od jej urody. Włosy jej spływały w siedmiu puklach jak ogony rumaków aż do bransolet u pęcin. Była ona czarnoooka, w biodrach szeroka, cieniutka w pasie, uroda jej uzdrawiać zda się i pragnienia ogień gasi, jako mówi poeta w tych oto wierszach:

*Doskonała jest spokojem i godnością
Fokochałem ją, gdym poznał jej urodę.
Niewysoka jest i nie jest niska nazbyt,
Ale izar jest za wąski dla jej bioder.
Między matym i wysokim jest w pośrodku,
Ni wyniosłość, ni przyziemność jej nie szpeci.
Włos jej spływa do bransolet u jej pęcin,
Ale twarz wśród czarnych pukli jak dzień świeci.*

I zadziwił się król jej widokiem, gładkością, urodą, wzrostem jej i kształtem, i ofiarował kupcowi wspa-



I odsonił kupiec twarz jej i wszystko rozblysło od jej urody.

niałe szaty honorowe i dziesięć tysięcy denarów dać mu polecił.

I rozkazał szambelanom, by przynieśli jej wszystko, czego zapragnie. I zawiedli niewolnicę do komnaty, której okna wychodziły na morze. Wówczas król wszedł do niewolnicy. A ona nie powstała przed nim, nie zważając nań zgola. I rzekł król: „Być może, przebywała wśród ludzi, którzy nie dali jej należytej oglądy“. I usiadł u jej boku i do piersi ją przycisnął, posadził ją na swych kolanach, pijąc ślinę jej ust i znalazł ją nad miody słodsza. Potem rozkazał, by przyniesiono stoły z wyborynym jadem wszelakich rodzajów. Jadł król i karmił ją po kawałku aż do syta, wszelako nie ozwała się doń słowem. Jadł tedy mówić do niej i o jej imię zapytał, ale trwała w milczeniu. I zrzucił szaty swoje i ręką własną z sukien ją obnażył, a spojrzawszy na jej ciało, ujrzał, że było jako odlew ze srebra. I umiłował ją miłowaniem wielkim, żadnej poza nią nie widząc niewiasty, a wszystkie swe nałożnice i konubiny porzucił. I było tak przez rok cały, który zdał mu się dniem, wszelako ona nie przemówiła ni razu. Pewnego dnia rzekł jej: „Błagałem Allacha, niechaj pochwalon będzie, by obdarzył mnie przez ciebie synem, będącym dziedzicem mego królestwa. Jestem bowiem naprawdę sam jeden i nie mam nikogo, kto by dziedziczył po mnie, a wiek mój jest już podeszły. Zaklinam cię przeto na Allacha, odpowiedz, jeśli mnie miłujesz“. I skłoniła niewolnica głowę ku ziemi w zastanowieniu, po czym uniósłszy twarz uśmiechnęła się do króla. I wydało mu się, że błyskawica napelniła komnatę swym światłem. I rzekła: „O, bohaterski królu i lwie potężny! Oto Allah wysłuchał twej modlitwy i otom brzemienna za twoją sprawą, a czas narodzin nadszedł. Nie wiem wszakże, czy płód męskiego czyli żeńskiego jest rodzaju. Gdybym od ciebie brzemienna się nie stała, nie ozwałabym się słowem do ciebie“. Rzekł: „O pani moja, władczyni, której niewolnikiem jestem. Byłaś u mnie rok cały we dnie i nocie i śpiąc i czuwając, a nie rzekłaś mi nic, aż po dziś dzień“. „Wiedz, o królu szczęśliwy, że imię moje jest Dżulannar z Morza. Ojciec mój był królem mórz. A mam ja brata imieniem Salih i matkę spośród morskich niewiast. I poważniałam się z mym bratem, i poprzysięgłam sobie, że sa-

OPOWIĘŚĆ O ZAŚLUBINACH KRÓLA BADR BASIMA SYNA KRÓLA SHAHRIMANA Z CÓRKĄ KRÓLA SAMANDALA

Baśń ze zbioru „Tysiąc nocy i jedna“

Przełożyli: JERZY FICOWSKI
i WŁADYSŁAW KUBIAK
Ilustracje: WANDA FICOWSKA

Malo jest dzieł w literaturze światowej, które byłyby równie popularne jak baśnie ze zbioru „Tysiąc nocy i jedna“. Zbiór ten, składający się z baśni, fantastycznych romansów, anegdot i opowiadań najróżniejszego pochodzenia, w dzisiejszej swej postaci ustalił się w Egipcie u schyłku wieków średnich. Bajki, z których się składa, wytwory ludowej fantazji, powstały w różnych czasach na olbrzymich terenach od Indii po Afrykę północną, a jedynie język i religia Islamu nadaje im jednolity charakter. Zasadniczy trzon Baśni tworzy średnioepicki zbiór opowieści znany pod nazwą „Tysiąca opowieści“ (Hezar Efsane). Z biegiem czasu dołączono do niego wiele nowszych opowiadań powstałych na ogół w głównych ośrodkach świata muzułmańskiego: w Bagdadzie i Kairze.

Baśnie z tysiąca i jednej nocy, poznane przez Europę na początku XVIII wieku, zyskały wielką popularność i doczekały się licznych przekładów na wszystkie niemal języki europejskie. W Polsce nie było dotychczas tłumaczeń 1001 nocy, jedynie odbierające urok oryginałowi przeróbki, dokonywane z reguły z drugiej ręki.

Poniższa opowieść jest arabską wersją bajki perskiej. Spotykamy ją już w najstarszym z rękopisów, zawierającym niektóre opowiadania z 1001 nocy, a pochodzącym z XIII lub XIV wieku. Przekład jej dokonany został z oryginału arabskiego przez Władysława Kubiaka i opracowany literacko przez Jerzego Ficowskiego. Baśń ta wchodzi w skład obszerniejszego wyboru 1001 nocy, który ukazuje się w Wydawnictwie Im. Ossolińskich. Drukujemy ją tu z pewnymi skrótami podyktowanymi szczupłością miejsca i sporymi rozmiarami opowieści. (J. F. i W. K.)

ma w ręce któregoś z mieszkańców lądu się rzuce. Wychylnęłam tedy z morza i na brzegu wyspy spoczęłam w księżycu. Podeszedł do mnie człowiek jakowś, wziął mnie i poszedł wraz ze mną do swego domostwa i chciał mnie posiadać, lecz ugodziłam go w głowę, że śmierci był bliski. I wyprowadził mnie i sprzedał temu, od którego ty mnie wzięłeś“.

Gdy słów jej wysłuchał, złożył jej dzięki, ucałował ją pomiędzy jej brwiami i rzekł: „Na Allacha, o władczyni moja, światło mych źrenic! Nie zniósłbym rozłąki z tobą i przez godzinę jedną. Gdybyś mnie odezła, umarłbym wnet; jakże więc będę?“ I rzekła: „O, panie mój! Bliski jest czas mego rozwiązania, trzeba więc rodzinę moją sprowadzić, by mieli pieczę nade mną, bowiem kobiety lądu nie znają sposobu rodzenia cór morza, córy zaś morza nie znają sposobu rodzenia cór lądu. Gdy więc rodzina moja przybędzie, pojednam się z nią, a ona pojedna się ze mną“. Król zapytał: „A jak mogą oni chodźć w morzu, nie moknąć?“ Odrzekła: „My chodzimy w morzu tak, jak wy po ziemi, dzięki błogosławieństwu imion wypisanych na pieczęci Sulejmana, syna Dauda, pokój niech będzie z nimi. A kiedy, o królu, przybędzie rodzina moja i bracia moi, ja powiadomię ich zaiste, żeś nabył mnie za swe pieniądze i żeś dobro mi czynił. A ty ukazesz się im, by świadczyć o prawdziwości słów moich. Obejrzą cię na własne oczy i poznają, żeś jest król, syn króla“. Przeto ozwał się król: „O, pani moja! Czyń jak zechcesz i postanowisz“. I zdjęła niewolnica ze swych ramion dwa kawałki kamaryjskiego aloesu, a wzięwszy ich cząstkę, roznieciła ogień w naczyniu. Wrzuciła weń cząstkę ową, gwizdnęła głośno i wyrzekła jakoweś słowa, których nikt by nie pojął. I wzbil się dym wielki, król zaś przyglądał się temu. Wówczas rzekła doń: „O, mój władco! Pow-

stań a skryj się w komorze, byś mógł, niedostrzeżony, przypatrzeć się memu bratu, mej matce i rodzinie mojej.

Wspienilo się morze i wzburzyło i wyszedł zeń młodzian powabnej postaci, urody niezwykłej zgola, do pełnego podobny księżycu, pan jaśniejącego czoła, a miał on różane lica i zęby do pereł podobne. Wyglądem siostrę swą przypominał, niech tedy język mową swoją tę parę dwuwierszy wypowie:

*Raz w miesiącu doskonały
jest księżyc jedynie,
Lecz twe lica doskonałe są
w każdej godzinie.
Księżycowi tylko jeden zodiak
jest siedliskiem,
Zasię twoim są mieszkaniem
nasze serca wszystkie.*

I oto wyszła z morza staruszka siwowłosa, a z nią pięć dziewczyn jak księżycy, też podobnych do dziewczyny zwanej Dżulannar. Rychło też ujrzał król młodzieńca, staruszkę i dziewczyny po wierzchu wody idących, aż do niewolnicy przyszli.

Gdy ją ujrzeli, poznali i weszli do jej komnaty, padli jej w objęcia, zapłakali płaczem gwałtownym i rzekli: „O, Dżulannar! Jakżeś mogła nas opuścić na cztery lata! Nie znaleźmy miejsca, w którym przebywasz i — na Allacha! — świat stał się nam ciasny niezbyt od bólu rozstania z tobą“. „Na Allacha, mój bracie, zaiste mąż, który mnie nabył, królem jest tego miasta, a jest zeń władca potężny, mąż rozumny. Jestem u niego w jak najlepszym bycie i najpełniejszym szczęściu. A wiedźcie jeszcze, że, gdybym go opuściła, zginie, nie zniósłby bowiem rozłąki ze mną ani przez godzinę; gdyby mi przyszło się z nim rozstać i ja umarłabym z miłości. Uprosiłam Allacha Najwyższego, aby mi dał syna, który by dziedzicem króla tego potężnego stał się“.



Wydobył z kieszeni szkatułę, skruszył pieczęć jej i ozwał się: „Przynieśliśmy ci dar ten“.

Gdy brat jej z córkami jej stryja wysłuchali, co rzekła, uradowali się jej mową i ozwali się w te słowa: „O, Dżulannar! Wszakże znasz miejsce twe w naszych sercach, przeto bądź pewna, żeś nam droższa nad wszystkich i zawier nam, że celem naszym jest twój dostatek bez trudów i frasunków. Jeżeliś tu jest szczęśliwa, poważana i pełna radości, to jest to właśnie naszym pragnieniem i wolą, gdyż naprawdę nie pragniemy nic innego, jak tylko twej pomyślności wśzędzie i zawsze“.

Niewolnice wniosły jadlo, i słodkości, i owoce, ona zaś jeść poczęła wraz z bliskimi swymi, którzy ozwali się do niej, mówiąc: „O, Dżulannar! Zaiste, pan twój jest nam nieznajomy, weszliśmy w dom jego, nie uzyskawszy odeń zezwolenia. Nie zasiadł wśród nas, nie pożywał z nami, aniśmy chlebem i solą podzielić się z nim mogli“. I wszyscy jeść zaprzestali i gniewem na nią zapalili, a z ust ich wychynął ogień na kształt żagwi. Gdy król to ujrzał, rozum zeń uleciał z wielkiej przed nimi bojaźni. Aż oto powstała Dżulannar i uspokoiwszy ich umysły, oddaliła się i weszła do komory, gdzie był król, jej pan i rzekła doń: „Oto pragnę od dobroci twej, byś poszedł i rodzinę moją powitał, byś ich zobaczył, by oni zobaczyli ciebie i niech szczeroko i przyjaźń będą między wami“. I rzekł jej król: „Słucham i jestem posłuszny, jako że i moi jest to pragnieniem“. Rzekłszy wstał, poszedł ku nim i pozdrowił ich najwzdechniejszym pozdrowieniem. Przeto powstał i nie zwlekając i powitał go najwzdechniejszym witanem. I usiadł w pałacu pośród nich i jadł przy jednym stole z nimi. I pozostawali razem przez dni trzydzieści. Gdy wypełnił się dni brzemienności Dżulannar i nadszedł czas narodzin, powiła chłopca jako księżyc w pełni. Zeszła się jej rodzina, król zaś powitał ich, rad z ich przybycia, i rzekł im: „Powiedziałem, że nie nazwę syna mojego dopóty, dopóki nie przybędziecie i sami nie dacie mu imienia, wedle waszego upodobania“. I nazwali go Badr Basim — Uśmiechający się Księżyc — a wszyscy przystali na to imię. Pokazali więc chłopca wujowi jego, imieniem Salih, a on uniósł go w ramionach i wyszedłszy, do morza słonego z nim zstąpił. I siedł, aż zniknął z oczu królowi. A skoro ujrzał król, że sy-

na jego wzięwszy, na dno morza odszedł, utracił nadzieję, płakać ją i rozpaczając. Ale Dżulannar widząc stan jego, rzekła mu: „O, królu czasu! Nie lękaj się o twego syna i nie rozpaczaj, bowiem brat mój nie uczyniłby tego, co uczynił, gdyby krzywdą małego miał to przypłacić. I w tej godzinie, jeśli taka jest wola Allacha Najwyższego, przyniesie ci syna twego w zdrowiu“. I nie minęła godzina, gdy speniło się morze i wzduło, i wyszedł zeń wuj dziecięcia, a z nim syn króla zdrowy i cały. Salih wyfrunął z morza, aż do nich dotarł, dziecię cicho spoczywało w ramionach jego, a twarz malca była jako księżyc w noc pełni. I wydobył Salih z kieszeni szkatułkę, na której widniały napisy i pieczęcie, skruszył pieczęć jej i zawartość wysypał. I wypadły z niej nanizane klejnoty różnorakie spośród hiacyntów i drogich kamieni, i szmaragdów trzysta i trzysta przekłutych brył kruszców bezcennego, wielkich jako jaja strusie, o świetlistszych ogniach niż ogień słońca i księżyca. I ozwał się: „Przynieśliśmy ci dar ten. Co dni kilka przyniesiemy ci podobny doń, jeśli Allah Najwyższy pozwoli, bowiem więcej jest u nas klejnotów tych i hiacyntów niżli żwiru na lądzie. Wiemy, które z nich dobre są, a które pośledniejsze; znamy każdą drogę do nich wiodącą i miejsca ich obfitości, nie trudno nam tedy je zdobyć“. Kiedy król spojrzął na owe klejnoty i hiacynty, rozum jego popadł w zadziwienie i umysł się zamącił. Rzekł: „Na Allacha! Zaiste, drobna cząstka tych kosztowności warta jest mego królestwa!“ I złożył im król gorące dzięki. Salih z matką swoją i córkami swego stryja pozostawał u króla dni czterdzieści.

Podrastał malec wybornie, a jego wuj, babka, ciotka i córki stryja matki jego przybywali co dni kilka do królewskiej siedziby i zabawiwszy przy nim miesiąc albo dwa, powracali do siebie.

I nie było wśród mieszczan ani dziecka, ani męża, ani niewiasty, którzy by nie rozprawiali o piękności tego młodzieńca, był on bowiem urody niezwykłej i doskonałości, co tak oto wyrażono w słowach poety:

*Perła ambra malowana — oto jego lico.
Albo jabłko agatową zdobione żywicą.
Śmierć zadaje, kiedy spojrzy pięknymi oczyma.
I urodę swych policzków upaja bez wina.*



Ledwo usłyszał król jego słowa, począł śmiać się tak, że aż się pokładał ze śmiechu...

W potęgę, męstwem i sprawiedliwości ludziom okazywanej nie miał on równych wśród współczesników swoich. I stało się, że dnia pewnego zaniemógł król, ojciec Badr Basima. Serce się w nim tłukło i poczuł, że przyjdzie mu się przenieść do przybytku wieczności. Ledwie dni kilka jeszcze przy życiu pozostawał, po czym przyjął go Allah Najwyższy w miłosierdziu swoim.

I dostojnicy państwa i najmożniejsi owego kraju przyszli do króla Badr Basima i powiedzieli mu: „O, królu! Nie masz ujemy w oplakiwaniu króla, wszelako żałować niewiastom jeno przystoi. Zaprawdę bowiem umarł już, ale pozostawił ciębie. A ten, kto pozostawia podobnego tobie, nie umiera“. Jakoż koronę królewską na głowę włożył, a siadłszy na tronie swego królestwa i sądził sprawy między ludźmi i czynił sprawiedliwość słabym wobec możnych, a ubogiemu prawo jego przez emira pogwałcone przywracał.

Aż razu pewnego zjawił się wuj jego w komnacie Dżulannar i pozdrowił ją. Podała mu trochę stawy, a gdy zjadł, jęł rozprawać o królu Badr Basimie, o jego urodzie, o rycerskich postępkach, o bystrości i ułożeniu, sam zaś król Badr Basim tymczasem spoczywał opodal na poduszkach. Udał, że jest uśpiony i rozmowy ich wysłuchiwał. „Zaiste w życiu syna twego wypełniło się lat siedemnaście, a żony jeszcze nie znalazł. Boimy się, że coś by mu przygodzić się mogło, zanim doczeka syna. Pragnieniem moim przeto jest poślubić go królownie spośród morskich królowien, która by godna była piękności jego i urody. Zbadaj wszakże, czy śpi syn twój, czy nie“. Dotknęła doń, a znalazłszy w nim oznaki snu, rzekła: „Zaiste śpi. Ale cóż takiego chcesz mi wyznać, czemu snu jego pragniesz?“ Odpowiedział: „Siostrzo moja! Wiedz, że przypomniał sobie oto jeszcze jedną dziewczynę spośród cór morza, która by godna była syna twego, ale boję się ją nazwać, gdy on czuwa, by jego serce nie związało się miłością do niej. A być może, iż nie uda-

łoby się nam jej zdobyć i trudziłby się i on, i my, i dostojnicy państwa jego, i mielibyśmy stąd frasunki. A rzekł był poeta:

*Na początku pożądanie niewieksze jest od kropelki.
Dopiero powstrzymane morzem się staje wielkim.*

Boję się, że czuwa, a mówił był poeta:

*Ledwo usłyszałem o niej, pokochałem ją głęboko.
Bywa, że pokocha ucho, zanim jeszcze ujrzy oko“.*

I rzekła mu Dżulannar: „Mów krótko, i nie lękaj się, mój bracie“. Powiedział tedy: „Na Allacha, siostrzo moja, żadna nie licuje lepiej z twym synem, niżli królowna Dżanhara, córka króla as-Samandala. Jest ona panią piękności i urody, postaci pięknej, kształtów młodych, ma ona różane lica, czoło, co blaskiem zachwyca, włosy jak drogic kamienie i czarnej barwy spojrzenie, biodra ma ociężałe, pas cienki, lico wspaniałe. Kiedy spogląda śmieje, wstydzą się antylopy i gazele. Gdy idzie i lekko się kolebie, gałązki wierzby jej zazdroszczą i wstydzą się za siebie. A gdy odrzuci z twarzy zasłonę, słońce i księżyc gasną zawstydzone. Kto raz widział jej powolność, jej łagodny powab, tego już na zawsze jej wdzięk oczarował“. Rzekła mu: „Prawdę rzekłeś, mój bracie. Na Allacha! Ona jedyna jest mego syna godna“.

Gdy Badr Basim usłyszał słowa obojga, umiłował ją ze słyszenia. I gdy mniemali, iż we śnie spoczywa, serce jego wypełniło się płomieniem ognistym. I zmilczał o tym i zataił przed matką i wujem, że z miłości, którą sprawiła opowieść o niej, jest jako żarzący się węgiel. A skoro nastał poranek, Badr Basim siadł pod drzewem cienistym, a wspomniawszy, co mówił był jego wuj Salih o dziewczynie owej, o piękności jej i urodzie, zapłakał rzęsiстыми łzami i tę oto parę dwuwierszy wygłosił:

*„Gdyby mnie spytano, kiedym był w pożodze srogiej,
I gdy w sercu mym i wewnątrz płonął wielki ogień —
— Co by miłsze było dla cię: chłód źródlanej toni,
Czy najukochańsi twoi? Powiedz! Rzekłbym: Oni!“*

Salih usłyszawszy jego słowa, załamał dłonie i zapytał: „Czyś słyszał, synu mój, to, o czym mówiłem, gdy z matką twoją rozprawiał o królowie Dżanhare i o jej przymiotach?“ Odrzekł mu Badr Basim: „Tak wuju. Umiłowałem ją, gdy usłyszałem, co o niej mówicie. Serce się moje z nią związało i już mi nie sposób się jej wyrzec“. Gdy Salih usłyszał słowa siostrzeńca swego, zdjął z palca pierścień, na którym widniały wyryte imiona spośród imion Allacha Najwyższego, i królowi Badr Basimowi go wręczył, mówiąc: „Włóż go na swój palec, a ustrzeże cię przed utonięciem i innymi przypadkami i uchroni od złych morskich bestii i ryb“, po czym obaj w morzu się pograżyli. I nie ustawali w drodze, aż na zamek Saliha przybyli. I uwiadomił Salih matkę swoją o tym, że król Badr Basim pokochał królownę Dżanhare, córkę króla Samandala, ledwo posłyszawszy o niej. I rzekła: „O mój synu! Poblądziłeś wielce, mówiąc o królowie Dżanhare, córce króla Samandala. Przeto pełni jesteśmy obawy, że skoro udamy się doń o jej rękę, odepchnie nas, jako odepchnął był innych. Czyni, jak zechcesz, ale przestrzegam cię: jeśli rozmawiać z nim będziesz, mowa twoja winna być twarda, zaiste bowiem znasz jego głupotę i zapalczywość. Lękam się tedy, by nie napadł na ciebie, jako że nie zna respektu przed nikim“. Odrzekł jej: „Słucham i jestem posłuszny“. Rzekłszy, powstał, wziął ze sobą dwa wory pełne klejnotów, hiacyntów, lasek szmaragdu i drogocennych kruszców spośród drogich kamieni, które ponieśli niewolnicy jego. I poszedł wraz z nimi i z synem siostry swojej na zamek króla Samandala, a gdy zapytał go o pozwolenie na wniknięcie, król pozwolił mu. Wszedł więc do wnętrza, ziemię przed królem ucałował i uniżonym powitał go pozdrowieniem. Król w te słowa się doń ozwał: „Błogosławione niechaj będzie twoje przybycie, bowiem twa nieobecność, Salihu, zasmucała nas. Jakie życzenia do nas cię przywiodły, powiedz mi o nich, abym mógł im uczynić zadość“.

Salih wstał, a ucałowawszy ziemię raz wtóry, rzekł: „O, królu czasu! Dążenie moje do Allacha zanoszę i do króla wspaniałomyślnego, łwa drapieżnego, o doskonałości którego daleko niosą się wieści, a jego hojność, wspaniałomyślność, łaskawość, wyrozumiałość i wdzięczność po ziemiach i krańcach szeroką rozniosły się sławą“. I rozwiązał obydwa wory, klejnoty i inne kosztowności z nich dobył, a rozsypawszy je przed królem Samandalem, rzekł mu: „O, królu czasu! Gdybyś podarek mój przyjąć raczył, sprawiłbyś mi radość, a biorąc go ode mnie, serce byś moje ucieszył“.

I rzekł mu król as-Samandal: „Czemuż mi podarunek ten przynosisz? Mów mi z czym przychodzisz, wiadom o życzeniu twoim“.

Rzekł mu tedy: „Wiedz, o królu czasu, że do ciebie przybył jako dziewczosłub, z prośbą o perłę nieporównaną a dobrze strzeżoną, o królownę Dżanhare, córkę naszego władcy. Niechaj przeto nie rozchwieje się chęć twoja, królu!“ Ledwo usłyszał król jego słowa, począł śmiać się tak, że aż się pokładał ze śmiechu, i rzekł: „Mniemałem, Salihu, żeś jest rozważnym

człowiekiem i uczonym młodzianem, że ku sprawiedliwości jeno zmierzasz, i że rozropne są twoje słowa. Cóż to przygodziło się rozsądkowi twemu, co cię skłoniło do wyżyn takich i wysokości, żeś ośmielił się prosić o córkę królów, władców krajin i ziemi?“ I odrzekł mu Salih: „Nie proszę cię o nią dla siebie, jeno dla króla Badr Basima, władcy Ziemi Persów, syna króla Szahrimana, a potęga jego jest ci znajoma. A jeśli rzekniesz, żeś jest królem potężnym, to przecie król Badr Basim jest potężniejszym od ciebie, jeśli zaś prawić poczniesz, że córka twa piękna jest, to przecie król Badr Basim piękniejszy jest niżli ona, powabniejszej postawy, doskonalszej wartości i rodu i jest najpierwszym z rycerzy czasu swego“. Skoro usłyszał król słowa Saliha, wściekłość straszna nim owładnęła, rozum mało go nie opuścił, a dusza prawie zeń odleciała. I ozwał się: „Ty kundlu! Czym jesteście przy niej, jeśli nie psami?“ I skrzyknął niewolników swoich i rzekł im: „Hej, sługi! Bierście głowę tego wisielca!“ Chwycili tedy miecze i obnażywszy je natarli nań, lecz on już odbiegł. A kiedy do bramy zamku dotarł, ujrzał synów stryja swego, jego krewnych, przyjaciół i niewolników. A było ich ponad tysiąc rycerzy zakutych w żelazo i kolczugi, a w rękach nieśli dzidy i tarcze błyszczące. Nie minęła chwila, gdy pokonano ludzi Samandala i do ucieczki ich zmuszono, Salih zaś i krewniacy jego schwytali króla Samandala i skępowali go... I skoro tylko przebudziła się Dżanhara, doszła ją wieść, że ojciec jej jest uwięziony, a straż przyboczna wybita. Opuściła więc pałac i na jedną z wysp zbiegła. Tam odnalazłszy wysokie drzewo, na nim się ukryła. Badr Basim, gdy usłyszał, że król as-Samandal został ujęty, pełen lęku o siebie rzucił się do ucieczki. I oto los odwieczny zagnał go na wyspę, gdzie schroniła się Dżanhara, córka króla as-Samandala. Przybywszy pod to samo drzewo padł jak martwy. Skoro legł już, podniósł spojrzenie na drzewo i oko jego spotkało się z okiem Dżanhary. Patrzył na nią i widział, że jest jako księżyc wschodzący, i rzekł: „Niechaj pochwalon będzie stwórciel tej istoty cudownej, ten, który stwórcą jest wszelkiej rzeczy i którego moc nad wszelką rzeczą jest. Na Allacha, jeśli nie poblądziłem w swoim domysle, to



Badr Basim w ptaka się obrócił, o białych piórach

jest to Dżanhara, córka króla as-Samandala. O ty, któraś jest celem pożądań, kimże jesteś? I kto cię tutaj przywiodł?“ I spojrzła Dżanhara na Badr Basima widząc, że jest on jako księżyc w pełni, gdy jaśnieje sponad chmur czarnych, i że jest smukłej postaci o wdzięcznym uśmiechu. I rzekła mu: „O, piękny! Jam jest królowna Dżanhara, córka króla as-Samandala. Umknęłam tutaj, gdyż Salih i wojsko jego walczyli z mym ojcem, wybili jego żołnierzy, jego zaś samego wraz z resztką armii pojмали“. I spojrział na nią i rzekł: „Zejdź, o pani moja, zaprawdę bowiem miłość do ciebie uśmierca mnie, a oczy twoje w niewolę mnie wzięły. Przeze mnie i przez ciebie wynikły owe zamieszki i wojna. Wiedz bowiem, że jest król Badr Basim, władca Persów, Salih zaś wujem jest moim“.

Skoro Dżanhara usłyszała słowa Badr Basima, rzekła w duszy swojej: „Przez tego nikczemnego wisielca stały się te wypadki i pojmanie oja mego i śmierć jego szambelanów i świty. Jeśli nie użyję przeciwko niemu podstępów, bym się umocniła przed nim, on mną owładnie i osiągnie swe cele, jest bowiem zakochany. A cokolwiek by zakochany uczynił, nie będzie mu policzone za złe“. I rzekła doń: „O, panie mój, światło moich źrenic! Czyliś doprawdy jest królem Badr Basimem, synem królowej Dżulannar?“ Odrzekł: „Tak, o pani moja“. Rzekła: „O, królu czasu, nie czyni mi krzywdy, za to, co on uczynił, bo zaiste, jeśliś mnie umiłował na piedź, to ja cię miłuję na łokieć“. Rzekłszy zeszła z drzewa, zbliżyła się do niego, objęła go, przytuliła do piersi i całować zaczęła, wyrzekła niepojęte dlań słowa i w twarz mu pluławszy, rzekła: „Opuść kształt człowieczy, a ptasią przyjmij postać, obróć się w najpiękniejszego z ptaków o białych

I jadł Badr Basim spośród owoców i pił ze strumienia, a było tak dni wiele i nocy. Miał on ptasią postać i nie wiedział, dokąd ma się udać, ani jak latać. Dnia pewnego, gdy siedział tak na wyspie owej, pojawił się tam łowca, by upolować coś do zjedzenia. I ujrzał króla Badr Basima, jako ptaka o białych piórach, dziobie zaś i łapach czerwonych. Złowił go, po czym udał się z nim do pałacu króla. Ten, ujrawszy ptaka, zadziwił się pięknnością jego i urodą i czerwienią dzioba i łap jego. Przyniósł go sługa na zamek i do zdobnej klatki go wpuścił. Przyniesiono stoły, a król jął pożywać. Skoro ptak ujrzał mięsiwo, potrawy, słodycze i owoce, jadł wszystko, co na obrusie znalazł. I zdumiał się król. I rozkazał, by przyszła małżonka jego i zobaczyła ptaka. Kiedy na niego spojrzała i przypatrzyła mu się bacznie, zakryła twarz swą i zawróciła ku wyjściu. I wstał król i zapytał: „Czemuż to twarz zakrywasz? Wszakże nie ma przy tobie nikogo poza niewolnicami i rzezańcami, będącymi w twej służbie, i poza małżonkiem twoim. Odrzekła: „Zaiste, ptak ten, o królu, nie jest ptakiem, jeno człowiekiem, jako i ty. Jest on królem Badr Basimem, synem króla Szahrimana, władcy kraju Persów, a matką jego jest Dżulanar z Morza. Zakłęła go królowna Dżanhara“. I opowiedziała o dziejach jego od początku do końca. Skoro król usłyszał jej słowa zadziwił się niezmiernie. A królowa ta była najpierwszą czarodziejką czasów swoich, a odsłoniwszy twarz, wzięła w dłonie naczynie z wodą, wypowiedziała nad nią jakoweś słowa niepojęte i ozwała się do ptaka w te słowa: „Przez moc imion potężnych i szlachetnych znaków! Przez moc Allacha Najwyższego, opuść te postać i powróć do tej, w którą cię Allah przyobłócił“. I nie dopowiedziała jeszcze słów swoich do końca, gdy wstrząsnął się cały i do własnej postaci powrócił. Król ujrzał, że jest to młodzieniec tak urodziwy, że nie masz piękniejszego na tej ziemi. I rzekł Badr Basim: „O, królu czasu, pragnę, byś przygotował mi okręt, bowiem lękam się, bym nie utracił królestwa, a trwam w niepewności, czy matka moja jest jeszcze wśród żywych“. I zaiste kazał król przygotować mu okręt i załogę. Wsiadł Badr Basim na statek, gdy już się z królem pożegnał, i odplynał na morze. Sprzyjał im wiatr, płynęli bez ustanku przez dni dziesięć. Jedenastego dnia morze wzburzyło się gwałtownie, a okręt to wznosił się, to zapadał w głąb i załoga nie zdołała go powstrzymać. Aż oto zbliżył się do skały sterczącej z morza. I ugodziła owa skała okręt i roztrzaskała go, po czym zatonoło wszystko, prócz króla Badr Basima, który dosiadł deski, gdy był już bliski zatury. I płynął tak trzy dni, zaś na czwarty dzień deska przybiła z nim do brzegu. Ujrzał tam białe miasto podobne do niezmiernie białej gołębiczy. Stały tam wielkie kolumny i pełno było pałaców dumnych, mury wznosiły się wspaniale i były w mury morskie fale.

dziesięciu dniach przemieniała go czarami swymi w mu-
ła, konia lub osła. A gdy ty na ląd wyjść chciałeś,
zwierzęta te bały się, że zaczaruje cię, jako ich
zaczarowała, przeto ostrzegali cię na migi. A imię
jej brzmi — królowa Lab“. Popatrzył nań starzec
i spostrzegł, że strach jego wzmógł się jeszcze.
Rzekł mu więc: „Wstań, mój synu, a siadź na progu
sklepu i przypatruj się tym stworzeniom, ubiorom
ich i maści i zważ, w co zostali zakłęci. I nie oba-
wiaj się, bo zaiste królowa i wszyscy mieszkańcy
miasta tego kochają mnie i cenią, przeto oni by
serca mego nie zranili, ani nie zasmuciliby mej
duszy“. Skoro usłyszał Badr Basim, co rzekł starzec,
wyszedł i siadł w drzwiach sklepowych, aby po-
patrzeć sobie. I przebywał u starca miesiąc cały.
I wielce go starzec pokochał. Dnia pewnego siedział
Badr Basim w sklepie starca, wedle zwyczaju swego,
gdy nagle ukazało się tysiąc sług z mieczami obna-
żonymi w dłoniach, a byli oni przyodziani w naj-
różniejsze szaty, ściągnięte w pośrodku pasem,
wysadzanych klejnotami. Jechali na arabskich
wierzchowcach, a u boku mieli przypasane miecze
indyjskie. Tak oto przybyli do sklepu starca i poz-
drowili go, po czym nadjechał tysiąc niewolnic jak
księżyce, przyodzianych w przeróżne stroje z jedwa-
biu i atlasu, haftowane we wzory ze złota. A między
nimi jechała dziewczyna na arabskim rumaku, na
którym siodło wysadzone było klejnotami i hiacyn-
tami.

A gdy razu pewnego król Badr Basim ocknął się ze snu, nie znalazł u swego boku królowej Lab. I rzekł: „Cóż to być może? Dokąd odeszła? Może udała się do ogrodu?“ Poszedł więc do ogrodu. Ujrzał w nim strumień płynący, a u jego brzegu — ptaka białego spostrzegł. Aż oto czarny ptak jakiś sfrunął do owej ptaszki białej i ją zalecać się do niej jak to czynią głębie i trzykroć na ptaszke skoczył. I po chwili ptaszka przybrała ludzką postać. Dosiadł Badr Basim konia i do sklepu sędziwego przepiekupnia odjechał i opowiedział mu o tym. Skoro starzec wysłuchał słów jego, rzekł mu: „Strzeż się jej i wiedz, że ów ptak czarny, któregoś widział, był jednym z gromady jej nameluków i miłowała go umiłowaniem wielkim, a gdy zwrócił oczy na jedną z niewolnic, zakłębionym swym w ptaka zmieniła go czarnego. I jeśli wiadomym się jej stało, żeś jej sprawy przeniknął, przeciwko tobie się obróci w skrytości. Ale nie lękaj się jej, gdyż ja będę miał baczenie na ciebie, porzuć więc obawę. A jestem ja, zaiste, muzułmaninem, zwę się Abdullah i nie masz w czasach moich czarodzieja nade mnie“. Pożegnał król Badr Basim starca i do niej powrócił. I zastał ją siedzącą w oczekiwaniu na jego przyjscie. Pili aż do północnej godziny, napelniła puchar i podawała mu, aż się upił, zbywszy się zmysłowy i rozumu. A gdy ujrzała go takim, rzekła mu: „Zaiste, po dziś dzień, gdy zatęsknię do niego, przemieniam się w ptaka i idę doń, by skakał na mnie, on zaś mnie bierze w posiadanie, jakieś to sam widział. Owóż, czyś dlatego zagniewany był na mnie?“ I odpowiedział jej, upojony winem: „Nie inaczej, jeno z tej przyczyny zagniewany na ciebie byłem“. I położyła się, a on leż u jej boku. A skoro nadeszła północ, wstała z posłania. Król Badr Basim czuwał, lecz udał, że jest we śnie. Jął na nią spoglądać skrycie i patrzył, co czynić zamierza. Ujrzał tedy, iż dobyła z czerwonej kalety jakąś rzecz czerwoną i wetknęła to w środku komnaty. I oto strumień wytrysnął jak morze. Wzięła w dłoń garstkę jęczmienia, podłogę nim posypała i skropiła wodą ową. I ziarna się wykłosiły, ona zaś zebrała je, zmęła na mąkę i złożywszy ją gdzieś, znów u boku Badr Basim legła i spała aż do rana. A skoro zabłysnął świt, król Badr Basim wstał, a umywszy twarz, poprosił królową, by dozwoliła mu odwiedzić starca. I powiadomił go o tym, co mu się u niej przygodziło i co na własne oczy oglądał. Starzec wyjął dlatę funt sawiku (słodki przysmak) i rzekł: „Weź to. pamiętaj wszelako, że gdy go ona zobaczy, zapyta:

A dnia pewnego udała się do starego przepuknia i opowiedziała mu o wszystkim. I zagwizdał starzec donośnie i przybył doń ifryt czworoskrzydły. Rzekł mu: „Weź tę niewolnicę i zaniesz ją do miasta Dżulannar z Morza i matki jej Faraszey, gdyż zaiste na ziemi całej nie masz czarodziejek większych, niżli one“. Tedy wziął ją ifryt i pofrunął. I ledwo minęła chwila, opadł z nią na zamek królowej Dżulannar z Morza. Dżulannar i matka jej Farasza i brat Salih zawezwali wszystkie plemiona dżinnów i morskie zastępy. I wzniesli się w powietrze i spadli na miasto czarownicy, zrabowali pałac, uśmiercając wszystkich, którzy w nim byli. Niewolnica przyniosła klątkę i rzekła: „Oto syn twój“. Królowa Dżulannar pokropiła go i rzekła: „Porzuć tę postać, a wróc do tej, w której byłeś wprzód“. I nie dopowiedziała jeszcze słów swoich do końca, gdy zadrżawszy, stał się człowiekiem. I rzekł król Badr Basim do matki swojej: „Nic mi nie pozostaje, matko, jeno ożenek“. Żadna inna mnig nie zadowoli, jeno Dżanhara, królowa as-Samandala córka“. Tedy posłała ludzi, nie zwlekając, by królowa as-Samandala do niej przywiedli. Król Badr Basim o rękę córki jego Dżanhary poprosił. Odrzekł mu: „Jest ona na twoje usługi, jako niewolnica tobie podległa“. Sprowadzono przeto sędziów i świadków i spisano umowę zaślubin króla Badr Basima, syna królowej Dżulannar z Morza, z królową Dżanhara. I wypuszczono wszystkich z więzień, a król Badr Basim przyodziął wdowy i sieroty.

I wiedli żywot najuciesznieszy i dni pędzili błogie, przy jadł, picu i używaniu, póki nie przyszedł do nich ten, co gani zbytek wesela, ten, który związki rozdziela. I oto koniec o nich opowieści. Niechaj zmiłuje się Allah nad nimi.



POMYSŁ I WYKONANIE: LUDWIK PERSKI

BIBUŁKOWE CUDA

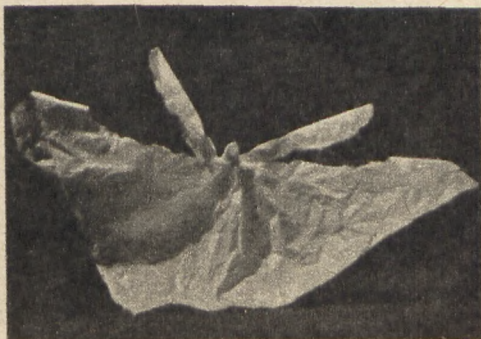
Zdjęcia: W. SŁAWNY

Potrzebna jest tylko chwila czasu, dwie bibułkowe serwetki, no i oczywiście odrobina zręczności i fantazji. Dwa pierwsze warunki znajdują się z pewnością w czasie świątecznych dni, o pozostałych zdecydować sami. Potrzeba więc bardzo niewiele, aby zapelnąć mieszkanie zwiewnymi postaciami tancerzy i tancerek, fantastycznymi motylami.

Sposób wykonania jest niezwykle prosty — serwetkę trzeba najpierw zmiąć, w dwa palce ująć środek, skrócić, i „główka” gotowa. Następnie ostrożnie po przekłnej nadrywamy bibułkę, powoli odrywamy wąski pasek podwójny, skracamy go w palcach i już jest „ręka”. Z drugą tak samo. A teraz ujmujemy w dwa palce powstającą figurkę na jednej trzeciej wysokości i przekraczamy o 180 stopni. Resztę podszepnie wam fantazja...

Sposób prosty, a efekt, jak sami widzicie, niebywały. Można przecież zaledwie w ciągu godziny zorganizować domowy teatr kukielkowy, ogłosić konkurs z nagrodami, a przede wszystkim zyskać sobie gorącą miłość dzieci.

A więc zaczynamy...



MARK TWAIN

Sienkiewicz

56 lat temu w tygodniku „Kraj” z dnia 17 czerwca 1898 roku (nr 23), ukazał się wywiad podpisany skrótem M o l. O autorze nie udało nam się zebrać wiarygodnych danych (a może wypadkiem dopomóc nam w tym może któryś z Czytelników?), ale treść wywiadu zafrapowała nas niesłychanie. M o l rozmawiał bowiem w Kaltenleutgeben z Markiem Twainem, m. in. o Polsce, mawiał bowiem w Kaltenleutgeben z Markiem Twainem, m. in. o Polsce mawiał bowiem w Kaltenleutgeben z Markiem Twainem, m. in. o Polsce sprzed przeszło pół wieku, zatytułowanej „Odwiedziny u Marka Twaina”.



Mark Twain w pracowni wiedeńskiej rzeźbiarki T. Riess.

ZAPRAGNAŁEM poznać osobie słynnego humorystę amerykańskiego, Marka Twaina, więc bez namysłu podążyłem na dworzec kolei Południowej, by się stamtąd udać do Kaltenleutgeben, gdzie Mark Twain przebywa obecnie. Miejsce, w którym ta, odległa od Wiednia niespełna godzinę drogą żelazną, leży w pięknej, wąskiej dolinie górskiej „Wienerwaldu”, górzystego stoku Alp, sięgającego brama stolicy austriackiej... Lista kuracystów Kaltenleutgeben wykazuje rocznie 1500—2000 osób, między tymi niemało Polaków... Tu zjeżdżał kilkakrotnie Henryk Sienkiewicz na dłuższy pobyt, a w „Rudolfshofie”, jeśli się nie myli, tworzył większą część „Potopu”, „Pana Wołodyjowskiego” i „Rodziny Polanieckich”. Sienkiewicz cisza i spokój miejscowości oddziaływały również i na amerykańskiego pisarza przyciągając. Rozłożył on więc tu obóz niezrównanego swego humoru w „Paulhof”, pięknej i dość obszernej piętrowej willi z werandami, w bocznej uliczce, po lewej ręce od głównej drogi, na wzgórku położonej, a ładnym otoczonej ogrodem. Z drugiej strony, naprzeciw, także w bocznej uliczce, stoi „Rudolfshof”, w sąsiedztwie więc najbliższym przybytku Sienkiewicza osiadł „drugi z naszych sławnych ludzi”, jak mi mówił chłop miejscowy, który mi wskazał drogę do Twaina.

Po krótkich perypetiach związanych z faktem, że Mark Twain — jak pisał reportażysta — „pracuje bez przerwy do godziny ósmej wieczór, a nawet na obiad nie schodzi”, M o l otrzymał zaproszenie na godzinę szóstą. Stało się zaś tak zresztą za wstawieniem córki Twaina, która dowiedziawszy się, że M o l jest Polakiem i „pewno umyślnie tu przyjechał, by się z papą zobaczyć” — „frunęła po schodach na pierwsze piętro do piszącego ojca”.

A oto relacji ciąg dalszy:

„Z uderzeniem szóstej godziny stawiałem się w willi Twaina, który był jeszcze punktualniejszy, bo oczekiwał mnie już z córką, miss Jane — w pokoju na dole, gdzie mnie przed południem przyjęto. Postać Marka Twaina, którego rzeczywiste imię i nazwisko opiewa: Samuel Langhorne Clemens — zdradza już na pierwszy rzut oka niezwykłego „egzotycznego”

człowieka. Na tułowi średniej miary i wątlwym osadzona jest bardzo charakterystyczna głowa, wydłużona ku górze, z rozczochranym bujnym zarostem zbiegającym w dół, robiących z daleka wrażenie przywzianej wielkiej peruki. Rysy twarzy regularne, nos orli, brwi nadzwyczaj duże, krzaczaste i zakędzierzone, spod których wygląda bardzo roztrupnie para piwnych przenikliwych oczu, ożywiających się od czasu do czasu jakimś dziwnym błyskiem, albo raczej „odblaskiem wewnątrz tłumionego uśmiechu”.

Po krótkim dialogu na temat „austriackich stosunków parlamentarnych” rozmowa nabrała charakteru bardziej osobistego:

— A jak zresztą podoba się panu w Austrii? — zapytałem.

— Nadzwyczaj. Podoba mi się bardzo w Wiedniu i tu także.

Miss Jane wtrąciła się do rozmowy, dodając:

— Ale tu bardzo nudno.

Na to odrzekł Mark Twain:

— Zabawy tu nie ma żadnej, to prawda, ale mnie tu bardzo dobrze. Spokój i cisza są balsamem dla pracy, powietrze wyborne krzepi siły — wstając rano czuję się świeżym, jak gdyby mi do lat 61 — urodzonym we Florydzie, hrabstwo Monroe, w państwie Missouri, 30 listopada 1837 roku — brakowało jeszcze bardzo wiele. Idę zazwyczaj spać około 11 godz. wieczorem, a wstaję regularnie o godz. 8 rano i zaraz po śniadaniu siadam do pracy, której nie przerywam sobie często nawet i obiadem. Jest to moje dawne przyzwyczajenie. Naturalnie, gdy w młodości był drukarzem, a następnie wioślarem na parowcu, krążąc na Missisipi, pomiędzy St.-Louis a Nowym Orleanem, nie można było mieć żadnych przyzwyczajai. Później, przebywając w Nowadzie, pomiędzy kopaczami złota i srebra, karciarzami i rozmaitymi łowcami szczęścia, miałem także inne zwyczaje.

— Zawód pisarski — wtrąciłem — rozpoczął pan w Virginia-City?

— W Virginia-City byłem pańskim kolegą, współredaktorem dziennika. Pisać zacząłem atoli o wiele wcześniej, w czasie moich wędrówek... zasilając pracami rozmaite pisma. Ale właściwy mój zawód pisarski rozpoczął się w r. 1864, gdy się osiedlił w San Francisco. Później podróżowałem dużo po dalekich krajach, spisując wrażenia z tych wycieczek. A objechałem nie tylko Amerykę, lecz także Azję i Europę.

— Więc pan już był przedtem w Europie?

— Byłem we Francji, Anglii — w Austrii jestem po raz pierwszy. Jestem tu już od roku, a zabawię jeszcze jeden rok. W Kaltenleutgeben zostaniemy do jesieni.

— Nad czym pan pracuje obecnie, jeśli wolno zapytać?

— O tym, co nie skończone, nie mówię chętnie. Pracuję nad kilkoma rzeczami, między innymi tłumaczę także jeden dramat niemiecki na język angielski. Z gotowych prac jest ostatnia: „Z londyńskiego Times 1904”, którą zamieścił nowojorski „Century”. Praca ta powstała w Wiedniu.

Rozmowa nasza przeszła na Henryka Sienkiewicza.

— Czytamy — mówiłem — w polskich piśmiach dużo doniesień z Ameryki, iż Sienkiewicz jest tam znany i ceniony.

— Bardzo wysoko ceniony — dodał. — Jest to wielce znakomity pisarz. Czytałem dawniej jego romanse: „Ogniem i mieczem” i „Potop”, a ostatni tak mi się podobał, iż czytałem go teraz właśnie po raz drugi.

— Zna pan także i inne jego utwory — ostatni jego romanse: „Quo vadis”?

— Nie. Z polskiego piśmiennictwa nie znam w ogóle nic więcej.

— Ja — wtrąciła miss Jane — czytałem także niektóre rzeczy Mickiewicza. Przecież — wielki poeta!

— Czytałem — podjąłem — w jakimś piśmie, że pani uczy się języka polskiego — czy rzeczywiście tak?

— Tak jest — odparła — ale nauka idzie dość tępo. Uczyla się od panny Michałowskiej. Jak żałuję, iż jej nie ma. Mówiła wybornie po angielsku. Teraz przerwałam naukę, szukamy odpowiedniej guwernantki. Tylko z wymową idzie trudno.

— Mianowicie co? — zapytałem.

— Miękkie spółgłoski — to cje, sje, zje.

Miała na myśli ć, ś, ź, których ani rusz dobrze wymówić nie mogła.

— Potem grube l—w (zamiast ł).

— A co spowodowało panią do uczenia się po polsku?

— Przypadek. Słyszałam raz w Wiedniu śpiewaną pieśń polską. Język polski tak mi się podobał, iż postanowiłam się go nauczyć. Nie wiem tylko, czy zdołam. Gdyby mi się udało, czytałabym „Potop” w oryginale. Papa zazdrościłby mi tego, nieprawda?

— dodała z wdziękiem, uśmiechając się do ojca.

— Spora część „Potopu” — podniosłem po chwili — pisał Sienkiewicz w Kaltenleutgeben.

— W Kaltenleutgeben! — powtórzył zdziwiony Twain.

— Tak. Dawniej przebywał on tu często latem, a mieszkał zaraz w najbliższym sąsiedztwie państwa. w willi „Rudolfhof”.

— Ach!

— A teraz nie bywa tu? — zapytał Twain.

— Z Warszawy wyjechał, ale dokąd, nie wiem. Może jest w Zakopanem w Tatrach — tam także często bawi.

Mówiliśmy o Tatrach i ich piękności, potem o Warszawie i Łodzi. Twain słuchał z wielką uwagą, co mu opowiadałem.

— Radbym poznać i Tatry, i Warszawę, i Łódź... Jak Bóg użył mi czasu...

Poruszyłem sprawę morderstw, popełnionych na polskich robotnikach w Hazleton, przez szeryfa tamtejszego, chcąc usłyszeć jego sąd o tym.

— Sprawa ta — odparł — nie jest mi znana. Rzecz musiała stać się już po moim wyjeździe z Ameryki. Spostrzegłem się, iż bawię u Twaina już prawie godzinę, i że może jemu, liczącemu się tak z czasem, chociaż jest ze mną nadzwyczaj uprzejmy, robi to uszczerbek, więc powstałem od stołu, sposobiąc się do odejścia.

Rozmowa zakończyła się prośbą M o l a o zezwolenie na publikację wywiadu w prasie. I tutaj „miss Jane jako istny anioł dobroci” skutecznie interweniowała, dzięki czemu M o l mógł opisać odwiedziny swoje u Marka Twaina, a my — przypomnieć o nich Czytelnikom „Świata”.

LEONARDO PRAWDZIWY

PEWNEJ sierpniowej nocy roku 1943 jedna z angielskich bomb lotniczych trafiła w rektarż mediolańskiej Santa Maria delle Grazie. Następnego poranka mieszkańcy Mediolanu, wychodzący ze schronów, stwierdzili między innymi zniszczenia, iż dwie ściany refektarza legły w gruzach. Dwie jednak pozostałe ściany: północna i południowa — zostały nie uszkodzone. Od przewrócenia uchroniły je worki z piaskiem, położone uprzednio wokół refektarza. „Ostatnia Wieczera” — jedno z najwspanialszych dzieł Leonarda da Vinci — uratowała się.

W dwa lata później cały refektarz został odbudowany i worki z piaskiem usunięto. Fresk Leonarda usunął się jednak tymczasem warstwą białej wilgoci i pleśni. Powstała ona na skutek długiego kontaktu z mokrym od deszczu piaskiem w workach. Dotknięcie palcem powodowało wgłębienie w miękkiej powierzchni ściany i wydawało się, iż nie ma sposobu na jej odwilgotnienie bez zniszczenia obrazu. Wszyscy myśleli, iż to już ostatnie chwile wielkiego fresku.

W Anglii wynaleziono jednak nowy rodzaj bezbarwnego szelaku, odpornego na wilgoć. Włoscy konserwatorzy, nie mając nic do stracenia, postanowili go tu zastosować. Znaczne ilości szelaku wstrzyknięto w ścianę. W ciągu roku wyschła ona zupełnie — obraz

zaś, przy tym pozostał w całości.

Nie było to jednak prawdziwe dzieło Leonarda. Zima i wilgotna, wietrzna mediolańska zima atakowała ścianę z freskiem przez 450 lat. Już za życia Leonarda na ścianie zauważyć można było podobno plamy wilgoci. W ciągu wieków konserwatorzy obrazów, działający w najlepszej wierze, starali się zacierać plamy i zamaľowywać pęknięcia. Co najmniej pięciokrotnie obce ręce, nie zawsze w pełni kompetentne, retuszowały i „poprawiały” dzieło Leonarda.

Teraz jednak, gdy fresk był zupełnie suchy, powstała, po raz pierwszy, możliwość zdrapania naleciałości wieków i przywrócenia dzieła malarskiemu jego pierwotnych walorów. Nie wiadomo, jakie będą rezultaty przedsięwzięcia. Po dłuższych gorących dyskusjach powierzone jednak tę pracę znanemu włoskiemu konserwatorowi, Mauro Pelliccioli.

Latem ubiegłego roku turyści zwiedzający Santa Maria delle Grazie w Mediolanie zauważyć mogli krzątającego się przy „Ostatniej Wieczery” energicznego starszuszka. Uważał on, iż turyści przeszkadzają mu w pracy i pomrukiwał gniewnie różne epitetki pod ich adresem. Był to właśnie prof. Pelliccioli, najstarszy, 65-letni konserwator włoski. Z największą ostroż-

nością zdrapywał on z fresku ostrym chirurgicznym skalpelem, cal po calu, brud naniesiony w ciągu wielu lat i farby wcześniejszych malarzy-konserwatorów. Zapytany przez jednego z dziennikarzy o technikę swej pracy — profesor odpowiedział: „Jest to właściwie niezwykle proste. Drapieżnie dopoty, aż się dojdzie do prawdziwego Leonarda. Cała trudność leży w tym, by wiedzieć, kiedy się należy zatrzymać”.

Główną pomocą w pracy prof. Pelliccioli była dokładna kopia „Ostatniej Wieczery”, wykonana przez malarza Odrodzenia — Andrea Solario — w roku 1520, czyli w 22 lata po namalowaniu fresku przez Leonarda. Kopia ta zniszczona została w ciągu ostatniej wojny — prof. Pelliccioli miał jednak jej fotografię, poza tym świetnie pamiętał jej szczegóły.

Po trzech latach, licząc od rozpoczęcia robót wstępnych, praca została ukończona wspaniałym rezultatem. Po zdrapaniu w niektórych miejscach pięciu warstw farby profesor odkrył, iż na przykład część szat św. Bartłomieja, które przedtem miały kolor zielony, są właściwie pięknego błękitnego koloru. Na tunice Judasza ukazały się stare, złote litery arabskie. Niektóre miejsca fresku dawniej brudnoszare — mieniły się krwistą czerwienią. Wspaniała gradacja kolorów na



Leonardo da Vinci — autoportret

szatach świętych urzekała swym pięknem. Kolory ożyły. Nawet przez ścianki naczyń na stole głęboka czerwienią przeblyskiwało wino. Zwany krytyk i ekspert dzieł Odrodzenia, 89-letni Bernard Berenson, po obejrzeniu „odnowionego” obrazu powiedział: „poczułem, iż patrzę na prawdziwe dzieło Leonarda, tknięte, naturalnie, wpływem czasu, lecz bez dodatków i dosmarowań, dokonanych przez niekompetentne ręce”.

Prof. Pelliccioli, tak jak i inni eksperci, wie, iż żaden proces renowacyjny nie może przywrócić „Ostatniej Wieczery” Leonarda da Vinci jej pierwotnej świetności. Zbyt wiele minęło czasu. Ostatnie prace jednak upodobiły bardziej niż kiedykolwiek „Ostatnią Wieczere” do oryginału sprzed 150 lat.

JAN GRUZEWSKI

FOTO

KORESPONDENCI DONOSZA

CHULIGANI-NISZCZYCIELE

Młnęło zaledwie parę miesięcy, a jakże zmieniła się lubelska Starówka, która przecież nie tak dawno jeszcze zachwycała mieszkańców Lublina i przyjezdnych. Zmieniła się nie do poznania. Teraz już nie cieszy, a smuci i zawstydzają. Poobijane narożniki Bramy Krakowskiej, zapaskudzone różnymi napisami domorosłych „artystów” ściany starych ka-

mieniczek przysparzają miastu złej sławy.

Kto ponosi winę? Głównie winni są tu sami gospodarze, bo pobieżają wybrykom chuliganów. A przecież tylko przez demaskowanie łobuzów i oddawanie ich w ręce władz można będzie ochronić piękne zabytki przed zniszczeniem.

Andrzej Polakowski, Lublin



Rynek Starego Miasta w Lublinie.



Ręcznie malowane motywy zimowe wprowadzają nas w zaczarowaną krainę bajek.

DLACZEGO BEZ ZDJĘCIA?

W ostatnich dniach listopada br. pojawiły się na ulicach Zakopanego wielkie afisze, zapraszające na tradycyjne „Andrzejki” do lokalu położonego malowniczo na szczycie Gubałówki.

— Pójdziemy? — zapytał Maciek.

— Pójdziemy! — odpowiedziałem.

A oprócz nas poszli dziesiątki, setki innych spragnionych dobrej zabawy. Początkowo wszystko było w porządku. Lokal miły i reprezentacyjny. Jedzenie wyśmienite. Orkiestra — doborowa. Obsługa sprawna, uprzejma i szybka.

Tragedia zaczęła się dopiero wtedy, kiedy Maciek zmuszony został do chwilowego oddania się samotnym rozmyśleniom w wiadomym miejscu.

— To jest coś strasznego! — powiedział po niespodziewanym szybkim powrocie.

— Co? — zapytałem zdumiony.

Zamiast odpowiedzi schwylił mnie za ramię i pociągnął za sobą. Kiedy przekroczyliśmy drzwi opatrzone „dwoma kółkami” — stanąłem zdumiony. Żyję już 32 lata, ale czegoś podobnego jeszcze nie widziałem. Umywalnie — pozapychane. Instalacja wodna — nieczynna. Drzwi i klamki — pokryte warstwą brudu. Zarówki powykrecane.

Widok był tak okropny, że pomimo nalegań Macieka odmówił wykonania fotografii.

— Nie, tego nie zrobię! — powiedział.

I dlatego moja dzisiejsza korespondencja jest bez zdjęcia.

Tomasz Czahański, Warszawa

Oczy naszych dzieci skrzę się zawsze radością na widok choinki przybranej różnokolorowymi bombkami.

W Wytwórni Galanterii Szklanej w Warszawie, po której oprowadza nas kierownik Teofil Wilczyński, wytwarza się barwne kule przez wszystkie miesiące w roku. Bardzo, bardzo ostrożnie trzeba poruszać się tu, gdzie wszystko jest z kruchego szkła.

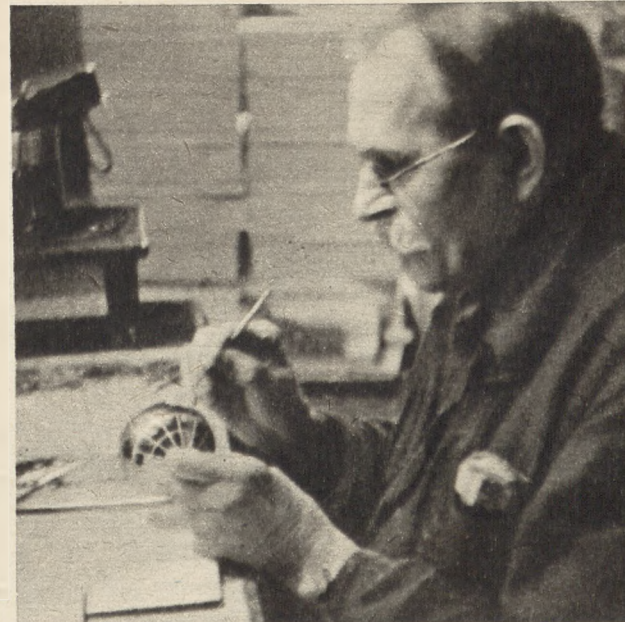
Początkiem choinkowej bombki jest zwykła szklana rurka. Po rozgrzaniu jej do stanu topliwości dmuchacz, zatapiając koniec, wydmuchuje kulę, nagrzewa jeszcze raz i przy

pomocy tzw. gwiazdek formowych nadaje jej odpowiedni kształt: szyszki, chrabąszcza czy dzbanuszkę.

Na razie wszystko jest jeszcze bezbarwne. W specjalnej dopiero sali następuje „kosmetyka”, a więc srebrzenie azotanem srebra, a potem malowanie różnokolorowymi motywami. Dalsze etapy to już tylko „skapslowanie” i wysyłka w dalekie strony świata. Polskie ozdoby choinkowe cieszą się bowiem nie tylko nasze dzieci, ale również dzieci Anglii, Francji, Szwecji, Norwegii, Stanów Zjednoczonych.

J Rembiszewski, Warszawa

Spod rąk Teofila Czechowskiego od 50 lat wychodzą prawdziwe arcydzieła bombkowe



PRZYSZŁY ZE ŚLĄSKA I KRAKOWSKIEGO



Nawet bez tablicy wiadomo byłoby, że tu właśnie odbywa się sprzedaż choinek

Jeszcze nie tak dawno rosła w lesie na Dolnym Śląsku, inna zaś w województwie krakowskim... Dzisiaj spotkały się na warszawskim placu rozprzedaży choinek. Koleżanki, które zostały w lesie, mają teraz lepsze warunki rozwoju. Te natomiast, które wycięto, czeka uroczy, aczkolwiek krótkotrwały los.

Przychodzą teraz starzy i młodzi, oglądają, naradzają się — którą wybrać. Wiele z nich znalazło już właścicieli i teraz, jeszcze co prawda w ukryciu, czekają, aby zabłysnąć w całej swej okazałości. W ciągu pierwszego dnia Handlowa Spółdzielnia Inwalidów rozprowadziła przy Placu 3 Krzyży 700 drzewek. Warszawa w grudniu zaopatrzona została w 200.000 choinek. Oprócz Spółdzielni Inwalidów rozprzedażą zajmuje się Miejski Handel Detaliczny i Związek Spółdzielni Spożywców.

R. Jerem, Warszawa



To! drzewko będzie na pewno dobre.

„WSTECZNIK” Z GÓR BYSTRZYCKICH



Szedłem ostrożnie i o, tu, między świerkami, zamajaczył jakiś niewyraźny kształt... kula przeszła na wylot.

Niedawno padł strzał, który uwienczył sukcesem podchód na jelenia w Górach Bystrzyckich.

— To jakaś niewydarzona sztuka — kręcił głową gajowy, patrząc na kosmate cielsko ubitego jelenia. Nie udało się panu, panie nadleśniczy. Pamiętam przed wojną bywało inne polowanie. Każdy byk ważył ponad dwa metry, a korny były jak cacko — duże, gałęziste. Było co pokazać i czym się pochwalić. A to młode, ma tylko jedno odgałęzienie. Szkoda było kuli dla niego.

— Młode? Gdzie wy macie oczy Czechowicz — tłumaczył

gajowemu cierpliwie nadleśniczy — A ta siwa broda pod pyskiem, to co? To wstecznik, który od kilku lat szkody tylko wyrządzał w polu i lesie. Starzy spryciarz, za słaby, aby stanąć do walki z silniejszymi, podsuwał się więc zleniacko do zwierzyny i ranił ją śmiertelnie. Grasował też po polach i niszczył uprawy. Jestem pewny, że i wasz owies dzisiaj odwiędził. Trzeba go było ubić.

Na tym właśnie polega racjonalna gospodarka leśna; pomagać w rozwoju sztukom mocnym, a usuwać te, które są zbyt słabe.

J. Waleczakowa, Wrocław

WIO, KONIKU...



Wio koniku, a jak się postarasz, do remizy zdążymy w sam raz... — wyśpiewuje na pewno motorniczy tramwaju w Rudce pod Warszawą.

— Zaraz, chwileczkę — czy to żart?

— Nie, mówię zupełnie poważnie. W Rudce bowiem tramwaje konne stanowią stałą i jedyną komunikację między stacją kolejową a sanatorium.

— No to trzeba będzie się tam wybrać, aby zobaczyć ten chyba jedyny jeszcze muzealny środek lokomocji.

— Owszem, można. Ale ręczę, że mieszkańcy Rudki z takiego tramwaju na pewno nie są zadowoleni.

P. Andrzejewski, Rudka

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

ODPOWIADAMY

„Jestem stałym czytelnikiem tyg. „Świat”, z zainteresowaniem czytam Wasz tygodnik i mogę z zadowoleniem stwierdzić, że odnośnie z tego duże korzyści — pisze nasz Czytelnik St. Ziółko z Warszawy. — Szczególnie interesuje mnie kącik „Fotografia na codzień”.

Ob. Ziółko zapytuje następnie, czy „przy pomocy zwykłego aparatu fotograficznego 6 x 9 można bez dodatkowych urządzeń zrobić zdjęcie z obrazu np. 15 x 20 cm lub mniejszego”. — Chodzi tu więc o wykonanie reprodukcji i zdjęcia małych przedmiotów.

Rysunek lub fotografię, obraz czy też jakikolwiek mały przedmiot możemy sfotografować każdym aparatem. Jednakże w aparatach, które nie mają długiego wyciągu skózanego mieszka (tzw. aparaty matówkowe) przedmiot taki możemy fotografować z najbliższej odległości 1 m — otrzymamy wówczas obraz tego przedmiotu bardzo niewielki, pomniejszony kilkanaście razy w stosunku do rzeczywistych rozmiarów i zajmujący nam tylko część płaszczyzny całego negatywu. Musimy negatyw dość silnie powiększyć — tracimy wówczas ostrość i przejrzystość rysunku, zaciera się jego szczegóły. Pamiętajmy, że w grę wchodzi ziarnistość negatywu i jego zdolność rozdzielcza, znacznie niższa od zdolności rozdzielczej obiektywu.

Dlatego też z reguły staramy się unikać nadmiernej skali powiększeń, a obraz przedmiotu uzyskać na negatywie w możliwie dużej skali. W tym celu przedmiot ten musimy fotografować z bliska, z odległości znacznie nie-raz krótszej od 1 metra. Obowiązuje nas reguła, iż dla uzyskania na negatywie obrazu przedmiotu w naturalnej wielkości, musimy obiektyw odsunąć od płaszczyzny negatywu na odległość dwa razy większą od ogniskowej naszego obiektywu. Wykonując np. zdjęcie muchy aparatem „Zorki”, „Exakta”, „Practiflex”, czy inną kamerą o obiektywie standardowym z ogniskową 5 cm, chcąc otrzymać obraz muchy na negatywie w wielkości naturalnej obiektyw ten musimy odsunąć na odległość dwa razy dłuższą, tzn. 10 cm. Wykonując zdjęcie np. pudełeczka zapalarek aparatem 6 x 9 cm, wyposażonym w obiektyw o ogniskowej 10,5 cm, musimy mieszk skózanego tego aparatu rozciągnąć na podwójną odległość, czyli 21 cm, ażeby pudełeczko na negatywie było tych samych rozmiarów co w rzeczywistości.

W aparatach małoobrazkowych, nie posiadających skózanego mieszka, posługujemy się pierścieniami metalowymi, wkładanymi między obiektywem a obudową aparatu, lub też soczewkami nasadkowymi, o dobranej odpowiednio średnicy i zdolnościach skupiających 1, 2 i 3 dioptrie. Soczewki takie możemy nabyć u optyka.

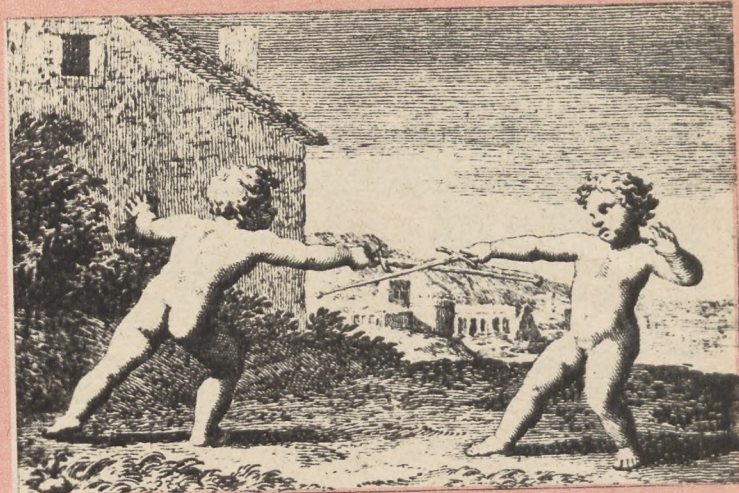
Na pozostałe pytania odpowiemy listownie. Andrzej Mikucki z Krakowa, w związku z artykułem „Oświetlenie powiększalnika” („Świat” Nr 44), nadsyła dodatkowe uwagi. Śluszenie wykazuje, iż stosowanie opornicy w celu zredukowania napięcia z 220 na 6 volt jest niekonieczne, gdyż opornica pobiera bezużytecznie zbyt wiele energii elektrycznej. Zarówka 6 V połączona w szereg z oporem na sieć 220 V potrzebuje poza tym kilku sekund na osiągnięcie pełnej siły światła, co przedłuża czas ekspozycji.

„Wszędzie zatem — pisze A. Mikucki — gdzie istnieje sieć prądu zmiennego, należy stosować wyłącznie transformator obniżający napięcie na 6 volt. Mając jedynie do dyspozycji sieć prądu stałego można się ostatecznie zgodzić na opornicę, umieszczając ją poza ciemnią i z dala od palnych materiałów. Najlepiej jednak w tym wypadku używać 6-woltowego akumulatora samochodowego”.



Tak wyglądała walka na białą broń w XVI wieku.

OSTRZE na OSTRZE



Sztych Bouzonneta, pochodzący z XVII stulecia.

W sali stadionu Wojska Polskiego w Warszawie ćwiczą szermierkę setki młodych dziewcząt i chłopców. Na zdjęciu: klasyczny wypad jednej z junierek.



OSTATNIE sukcesy naszych szermierzy odniesione w Wiedniu na mistrzostwach międzynarodowych, uważanych za nieoficjalne mistrzostwa Europy, znów skoncentrowały uwagę na tej pięknej dyscyplinie sportu. Sztuka władania białą bronią należy w Polsce niewątpliwie do tradycji.

Przypomnijmy sobie czasy, kiedy wraz z wynalezieniem broni palnej pojawiły się nowe rodzaje broni białej — lżejsze, pozwalające na szybszą akcję, tzw. rapiery, broń długa. Na Wschodzie zaś, jeszcze wcześniej, ukazuje się broń o zakrzywionej kłindze, szabla ze sławnej damasceńskiej stali.

Słynna „damascenka” — trafiła do Polski i zdobyła sobie prawo obywatelstwa w wieku XVI. I ona również, podobnie jak zachodnio-europejskie rapiery, miała przewagę nad ciężkimi mieczami. Z biegiem czasu, w ogniu nieustannych wojen z Tatarami i Turkami, szabla stała się w rękach co zdolniejszych rębaczy straszliwie niebezpieczną bronią. Powstawały liczne szkoły cięć szermierczych. Sławne stało się cięcie, zwane „nyżkiem, czyli cięciem tureckim” — w którym szabla idąc z prawej strony od dołu płała przeciwnikowi brzuch. Z. Czajkowski w książce pt. „Nowa szermierka” podaje za Michałem Starzewskim z jego traktatu „O szermierstwie” taką charakterystykę tego ciosu:

„Cięcie to zwano tureckim, bośmy niegdyś Turkom najczęściej płałali niem brzuch, a na sejmikach też niejednen szlachcic na zagrodzie — pasa litego rozwiązał niem węzeł Panu Wojewodzie”.

Charakterystyczną cechą naszych rębaczy z minionych stuleci była pogarda różnych podstępów w pro-

wadzeniu walki, zakorzenionych głęboko wśród szermierzy np. Włoch i Francji. Tam zdarzało się często, że zaskakiwano przeciwnika rzucając mu w oczy piasek lub na głowę pelerynę, a potem rapię czy szpada przebijają go na wylot. Czasem posługiwano się w tym celu kapeluszem. Używano również latarek, które wyciągnięte znienacka zza pleców czy ze zwojów peleryny czy płaszcza, oślepiły przeciwnika.

Niestety, nasi „rębacze” nie zawsze posługiwali się białą bronią w potrzebie i nadużywali jej w czasie zajazdów, sejmików i na sądach.

Stawili polskich rębaczy obcy autorzy podręczników szermierczych, tacy jak wiedeńczyk Werner, który jeden z ciosów, podpatrzony u polskich mistrzów szabli, nazwał — „polską, albo piekielną kwartą”. Piekielną, bo trudno ją było sparować.

Po rozbiorach upada u nas szermierka. Ma ona służyć, jak możemy to przeczytać w książce wydanej w roku 1912 w Warszawie pt. „Dziesięć sportów dla młodzieży”, celom nie związanym ze sportem.

„Fechtunek, zwany także szermierką, jest to sztuka użycia broni białej (siecznej) w celu ataku lub obrony, zatem — zawodowo w służbie wojskowej, przygodnie — w wypadkach pojedynkowych”.

Na szczęście nie cała młodzież polska potrak-

Szybką orientację młodych adeptów sztuki szermier-

Sprawdzeniem szybkiego refleksu jest puszczenie szpada trzymanej przy rękojeści i błyskawiczne schwycenie jej w locie. Pokaz wykonuje Pawłowski.





Być może, że w przyszłości ten młodziutki człowieczek zdekonizuje samego mistrza Pawłowskiego...

owała wówczas szermierkę zgodnie z zaleceniami tej książki. Wielu uważało ją za sport i z zapalem ćwiczyło na salach treningowych pod okiem fecht mistrzów zagranicznych. Uczyli u nas wtedy Francuzi Michaux i Marie, Włoch Santelli i inni. Ale rezultaty sportowe zaczynają być poważne dopiero od chwili, gdy pojawia się w początkach XX stulecia doskonały pedagog, znany mistrz szermierki, nie żyjący obecnie A. Bąkowski. Jego to uczniowie wywalczają sukcesy w mistrzostwach Austrii w Wiedniu, w roku 1911 i 1912, stając się protoplastami dzisiejszych naszych mistrzów — Zabłockich, Pawłowskich, Twardokęsów i innych.

Dzisiaj szermierka zyskuje w Polsce coraz większą popularność. Staje się niemal sportem narodowym. Liczne rzesze młodzieży pokochały tę dyscyplinę, a raz za razem wywalczyła sobie jedno z pierwszych miejsc na świecie.

W. WOJTECKI

Zdjęcia: K. JAROCZOWSKI i CAF

czaj bada się zazwyczaj przy pomocy rzucanej na tarczę rękawicy, którą należy w porę przygwozdzić.



SWIAT

o tym wie!

DUCH GOEBBELSA STRASZY W BERLINIE ZACHODNIM

„Kto panuje w Sportpalast — ten panuje w Berlinie” — mawiał Goebbels, którego głos raz po raz rozbrzmiewał w o-



gromnej hali berlińskiej „Pałacu Sportowego”. W czasie ostatnich wyborów samorządowych w Berlinie zachodnim faszystowska Deutsche Partei („DP”) zaprzęgnęła pójść śladami Goebbelsa. Na zgromadzeniu w Sportpalast panowała atmosfera, jak za najlepszych czasów hitlerowskiego porządku. Umundurowane bojówki obstrzeliwały salę. Pięść i kasteł spadały na głowy opozycyjnych słuchaczy. Z trybuny grzmiał goebbelsowski język i tylko swastyk brakło, by obraz był kompletny. Witano owacyjnie członków byłej NSDAP i byłego Arbeitsfrontu, a tych, którzy oponowali przeciwko tej hitlerowskiej demonstracji — zrzucano ze schodów lub wyrzucano za drzwi.

„DP” nie odniosła w wyborach spodziewanego



sukcesu. Ale jej wodzowie berlińscy odgrają się, że to dopiero początek stosowania prawidłowych metod politycznych,

używanych kiedyś przez gauleitera Berlina, Goebbelsa, a które jego naśladowcy zamierzają teraz upowszechnić.

KOSZMAR NA EKRANACH

Zbrodniarz wojenny, feldmarszałek Kesselring, zawiązał niedawno do angielskich mieszkańców posiadaczy odbiorników telewizyjnych mogli go oglądać na własnych ekranach. „Nie przypuszczałem, że w najgorszych koszmarach sennych ujrzę coś takiego” — pisał Willi Frischauer na łamach londyńskiego tygodnika „Reynolds News” z 14 listopada 1954 roku. (Ob. reprodukcję).

„Kesselring był na stanowisku dowódcy — przypomina autor artykułu — gdy słownik nasz wzbogacił się o straszne słowo — coventryzacja”.

W pamiętnikach swych Kesselring pisał o strasliwym nalocie na Coventry, jako o „szczególnie udanym osiągnięciu Luftwaffe”. Zapewniał też w swej audycji telewizyjnej, że inwazja hitlerowska na Wielką Brytanię byłaby się z pewnością udała, gdyby tylko „właściwe przygotowania zostały poczynione w 1940 roku”. „Jestem przekonany, — mówił — że gdyby niemieckie naczelne dowództwo wykazało tyle inicjatywy i zdecydowania, co w innych kampaniach — rezultaty byłyby uwieńczone równie wielkim sukcesem”. Krótko mówiąc, „Wehrmacht” hitlerowski maszerowałby sobie po Trafalgar Square tak jak maszerował pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu.

Anglicy zwykli z dumą mawiać: „My home is my castle” — „Mój dom jest moją twierdzą”. Okazało się, że przestał być! Skoro zbrodniarz wojenny wkracza z tryumfem na ekrany telewizyjne angielskich mieszkańców — kończy się i ten przywilej Anglika. A co do-

piero będzie, kiedy znów stanie pod bronią parę tuzinów zachodni-niemieckich dywizji i wzbije się w przestworza kilka tysięcy samolotów nowej Luftwaffe? Oby słowo „coventryzacja” nie wróciło na szpalty brytyjskich gazet. Jeśli wróci — wiadomo będzie, kto był sprawcą: autorzy układów o remilitaryzacji Niemiec zachodnich.

TV's KESSELRING BLUNDER...

by WILLI FRISCHAUER

In my worst nightmare I never expected to see this

The place of Albert Kesselring in the history of modern war is secure. He was a brilliant tactician, a brilliant strategist, a brilliant commander. He was a man who was never defeated. He was a man who was never captured. He was a man who was never killed. He was a man who was never... (The text is partially obscured by the image)



PRECZ!

„Blank raus!” — Precz z Blankiem — huczała wielka hala wystawowa w Norymberdze, gdy boński minister wojny (chwilowo jeszcze w cywilu), Theodor Blank, wszedł

na trybunę, by nawoływać młodzież niemiecką do wstępowania do nowego „Wehrmachtu”. Czterdzieści minut trwał tumult i zgłask, gwizdy i śpiewy, aż na salę

wtargnęła policja, by przywrócić porządek. Z trudem tylko minister Blank mógł dojść do słowa. Tygodnik zachodni-niemiecki „Quick” w numerze 49 z dn. 5 grudnia 1954 roku przynosi zdjęcia z tej demonstracji i jej opis (ob. reprodukcję) pt. „Mówca Blank — zakrzykany”.

W dwa dni później, w Augsburgu, minister Blank miał jeszcze cięższe przeżycia. Tu w ogóle nie dopuszczono go do głosu, a kiedy próbował przekrzykować zgromadzoną młodzież — ściągnięto go z estrady, pobito do krwi i tylko z wielkim trudem policjanci zdołali wyrwać niefortunnego „Kriegshetzera” (podżegacza wojennego) z rąk wzburzonego tłumu. Silny oddział policji wyprowadził ministra z sali tylnym wyjściem.

W całych Niemczech zachodnich rozgrywały się podobne sceny na zgromadzeniach, zwoływanych przez partię Adenauera, gdy tylko mówcy poruszali sprawę remilitaryzacji. Odpowiedzią był donośny okrzyk: „Nie chcemy!”



Tumult in Nürnberg und Augsburg:

Blank raus!

Redner Blank — niedergeschrien! Vierzig Minuten lang war die Nürnberger Messe laut und hell. Die Menge der Demonstranten war riesig. Die Polizei war nicht imstande, die Ordnung zu halten. Die Demonstranten schrien: „Blank raus!“, „Precz z Blankiem!“, „Nie chcemy!“. Die Polizei musste die Demonstranten mit Gewalt auseinanderdrängen. Die Demonstranten waren sehr zahlreich. Die Polizei war nicht imstande, die Ordnung zu halten. Die Demonstranten schrien: „Blank raus!“, „Precz z Blankiem!“, „Nie chcemy!“.

Wznoszę do góry kielich pełen wina pomyślności i piję WASZE ZDROWIE, KOCHANI CZYTELNICY! Gdzie kupiłam ten kielich? Nie, Mill, Dziś nie. Święta i Nowy Rok za progiem, przystoi mi więc miecz na bok odłożyć i zapomnieć na chwilę o wytękanu cudzych błędów. Chcę Wam zresztą złożyć noworoczne życzenia, gorące, szczere, z głębi serca płynące.

Czy zastanawialiście się kiedyś, jaki jest właściwie sens życzeń? Prawdę mówiąc tak rzadko się spełniają, że powinniśmy od dawna zniechęcić się zarówno do składania ich, jak i do przyjmowania. A przecież korzystamy z każdej okazji, by bliskich i miłych sercu ludzi obdarzać życzeniami, a gdy z kolei nam je składają, radzi jesteśmy tym dobrym słowem. Więc dlaczego?

Bo sensem — jak sądzę — każdego życzenia jest zawarta w nim nadzieja, ta nieodłączna towarzysząca człowiekowi, młodsza siostra wiary w zwycięstwo dobrego.

A więc z nadzieją i gorącym pragnieniem, aby się spełniło, życzę: Mieszkańcom ulicy Nowomarszałkowskiej oraz górnych pięter w osiedlach Grochów II, Praga II, Muranów i Ochocza, żeby od pierwszego dnia roku 1955 temperatura w ich mieszkaniach podniosła się powyżej 9 stopni i to nie tylko za sprawą ich osobistych wstrząsów, lecz także z pomocą centralnego ogrzewania, które (o ironio!) pomyślane jest jako niezawodne i lepsze zastępstwo staromodnych pieców.

Mieszkańcom całej Polski, zmuszonym do codziennego lub okresowego korzystania z komunikacji pociągowej na liniach, których nie wymieniam, bo nie jestem rozkładem jazdy — by tenże przestał być wreszcie martwą literą, ożywioną jedynie nieuprzejmymi uwagami obsługi autobusów.

Młodym matkom, by równie niezawodnie, jak pantofle nr 37 i większe, nabywać mogły w Domach Dziecka wszelkie części garderoby potrzebne ich pociechom, a owym częściom garderoby — bym mogła im pogratulować żywota dłuższego aniżeli trzy noszenia i dwa prania.

Najmłodszym uczniom i uczennicom, by ci, którzy układają dla nich podręczniki, zrozumieli wreszcie dla kogo piszą i że słowo „nauczanie” nie jest bynajmniej synonimem słowa „nudziarstwo”.

Spóźnionym przechodniom, mieszkańcom przedmieść i nie tylko przedmieść, by na swej drodze zamiast chuliganów rozkazujących: „Wyskakuj pan z jeślonki”, spotykali miłe sercu i oku szarobielitne mundury.

Architektom Warszawy, by nowo-

wznoszone gmachy podobne były części do projektów, według których je budowano, a gmachom tym — żeby nie trzeba ich było od razu przebudowywać.

Małej doniczce fiołków alpejskich, żeby kosztowała mniej niż 80 złotych, a zakochanym chłopcom, by mogli o swej miłości mówić kwiatami, nie pozabawiając się przy tym przez dwa tygodnie obiadów.

Golebiom warszawskim, by zawsze znajdowały na ulicach groch lub okruszyny chleba, a ulicom, by je rozkopywano tylko raz na rok, i to nie równocześnie wszystkie.

Mieszkańcom dalekiego Grochowa, śpieszącym rano do pracy lub na uczelnię, by na autobus czekali mniej niż 45 minut, a pasażerom tramwajów warszawskich, by nie musieli więcej słuchać przygadywań w rodzaju: „Jak pan chce” czytać gazetę w tramwaju, to jedź pan taksówką”.

Szukającym lekarstwa, by znajdowali je w pierwszej aptece, do której wejda. Tygodnikowi „Świat”, żeby go można było kupić co tydzień w każdym kiosku.

A brakorobom, biurokratom, wazelinarzom, zwysokaurzędującym, „cyklistom” (na dole depcze, na górze zgina kark), zrzucającym winę na drugiego, życzę, żeby im nikt nie życzył tego, czego ja im życzę.

Ponieważ w numerze bieżącym „Syrenka” składa swoim „klientom” świąteczne życzenia, przeznaczamy dzisiaj nasz dział odpowiedzi na felieton w sprawie pasty do zębów.

„Droga Syrenko!

Dziękujemy Ci za dowcipny opis perypetii spowodowanych fluoryzowaną pastą do zębów w pastylkach „Floridont” naszej produkcji. Współczujemy Ci serdecznie z tego powodu i zarazem żałujemy, że jesteś taka „niezgraba”.

My wszyscy stale używamy tej pasty w pastylkach, używa jej również wiele, bardzo wiele ludzi w całej Polsce, a przede wszystkim dzieci. Mamy wiele listów z ubiegłych miesięcy, w których rozmaici ludzie powiadają nam o braku naszej pasty, do której się przyzwyczaili i poznali dobroczynne skutki stałego jej używania. Bowiem musisz wiedzieć, że pasta ta zawiera dawki fluoru w związkach (sodu i glinu), a te, jak już naukowcy z całkowitą pewnością zdolali stwierdzić, są wrogami nr 1 próchnicy zębów. Związki te działają profilaktycznie przeciw próchnicy, przede wszystkim u dzieci w wieku od lat 5 do 15, a więc w okresie, gdy zęby nie są jeszcze dostatecznie utwardzone. U starszych pasta nasza, która ma specjalny, całkowicie nowy i nie spotykany skład chemiczny, poza funkcją dobrego oczyszczania i polerowania zębów, zawartością związków fluoru działa bakteriobójczo, przeciwdziałając tworzeniu się tak zwanego „lactobacilis acido-ferans”.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że forma pastylek nie jest tak wygodna w użyciu jak zwykła pasta do zębów w tubach, ale ze względów technologicznych i recepturowych niestety tak musi być, gdyż dawki fluoru muszą być dozowane. Przy odrobinie dobrej woli szybko dochodzi się do pewnej wprawy w użyciu, i używanie naszej pasty staje się nawet przyjemnością, ze względu na dobry i łagodny smak.

Nie wiemy, co było powodem, że nasze pastylki nie chciały się rozpuścić, może lodowato zimna woda? My postępujemy w ten sposób: do szklanki z dobrze ciepłą wodą wprowadzamy ostrożnie pastylkę na szczoteczkę, pozostawiamy przez 10 — 20 sekund, przez ten czas z zaciekawieniem obserwując jak pastylka musuje, po czym wprowadzamy ją do ust i szczoteczką rozprowadzamy po zębach, tak jak każdą inną pastę. Pastylka pieni się i dokładnie oczyszcza zęby. Ten sposób jest najbardziej racjonalny, gdyż sprzyja dokładnemu rozpuszczeniu się soli fluorowych i dlatego podaliśmy go w ulotkach. Ale nasi znajomi najpierw płuczają zęby wodą, wprowadzają pastylkę do ust i zamoczoną w ciepłej wodzie szczoteczką rozprowadzają pastylkę na zębach. Pastylka gładko rozpuszcza się. Polecamy ten sposób dla tych, którym każda minuta dłuższego przebywania w łóżku jest bardzo droga.

Nawiasem przypominamy, że w zasadzie zęby przede wszystkim należy myć wieczorem, by na noc nie pozostawiać w jamie ustnej resztek pokarmu. Za brak zwykłej pasty do zębów w tubach nie możemy odpowiadać.

Przesyłamy wiele pozdrowień oraz parę fiolek z naszą pastą dla wypróbowania i życzymy powodzenia w próbach oraz ładnych, a przede wszystkim zdrowych zębów.

Spółdzielnia Pracy

„Flořina”

Wytwórnia Perf.-Kosmetyczna
w Krakowie

Stosując się do wskazówek, jak używać Waszej pasty, wypróbowaliśmy ją ku pełnemu zadowoleniu, chociaż „technika roztopiania” tabletek nie jest rzeczywiście zupełnie prosta. Wierzymy w zbawcze działanie fluoru. W dalszym ciągu jednak domagać się będziemy pasty w tubach, którą od lat przyzwyczaili się używać dziesiątki tysięcy ludzi na całym świecie.

„ŚWIAT”

„Zatopek”, 44) Kawałek np. cukru, 46) Tańczy go „Mazowsze”, 48) Piszą je poeci, 50) Łagodzi wstrząsy pojazdów, 52) Pnacza podzwrotników, 54) Tematy do dyskusji, 55) Jednostka oporu elektrycznego, 56) Wiosenny, 58) Mała Katarzyna, 62) Bóg

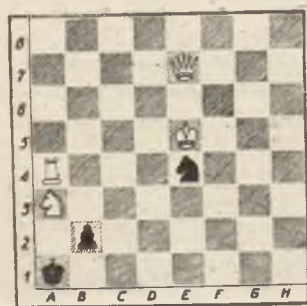
wojny u starożytnych Greków, 63) Ptak morski.

(M. Zukiewicz, Ostrowiec)

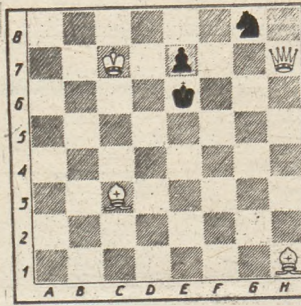
Termin nadsyłania rozwiązań 10-dniowy. Za dobre rozwiązania rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

SZACHY

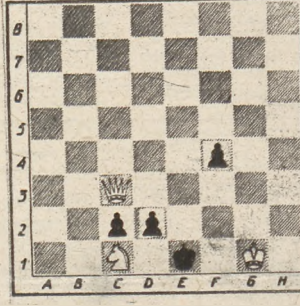
N. Kriuczkow
Mat w trzech posunięciach



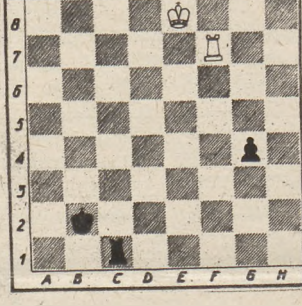
L. Kubbel
Mat w trzech posunięciach



A. Galicki
Mat w trzech posunięciach



N. Grigoriew
Białe zaczynają i remisują



KONKURS
MINIATUROWY
Miniaturą nazywamy zadanie szachowe, w którym

występuje co najwyżej 7 białych i czarnych bierek łącznie. Nasz konkurs składa się z czterech takich

właśnie zadań-miniatur. Między Czytelników, którzy do dnia 15 stycznia 1955 roku nadesłali poprawne roz-

wiązania czterech zadań konkursowych, rozlosowanych zostanie 12 nagród książkowych.

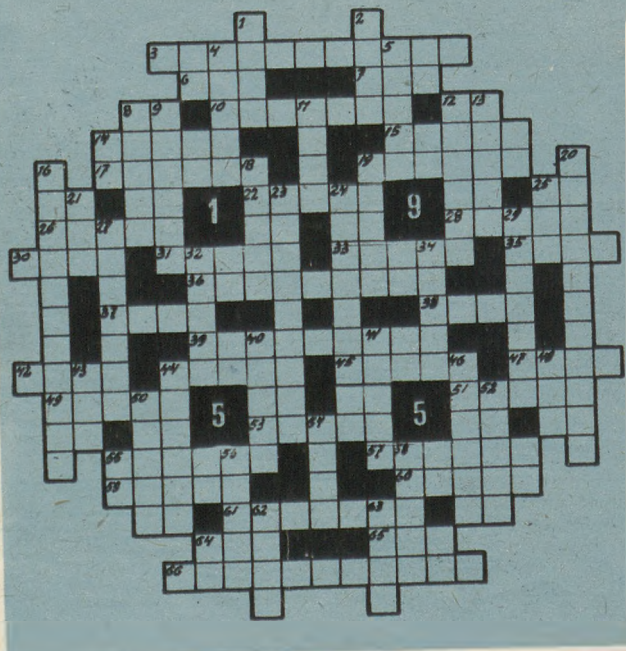
ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA

Poziomo: 3) Człowiek bez ojczyzny, 6) Uśmierza, łagodzi, 7) Cyganka z „Chaty za wsią” Kraszewskiego, 10) Wyspy na Atlantyku, 14) tytuł jednego z tomów poezji K. I. Gałczyńskiego, 15) Do czasu wodę nosi, 17) Wykaz, skorowidz, 19) Zadowolenie, uciecha, 22) Pomieszczenie dla krów, 25) Szukaj w nutach, 26) Imię męskie, 28) Przeszkoda na linii komunikacyjnej, 30) Niepokoi Sy-cylię, 31) Określa natężenie prądu, 33) Kończyna drobne-go stworzenia, 35) Pospolite chwasty, 36) Nauka o nowotworach złośliwych, 37) Rzeka nad którą leży Kom-somolsk, 38) Prąd, bieg rzeki, 39) Specjalna obrabiarka, 42) Stolica Azerbejdżanu, 44) I ta i tamta bez wyjątku, 45) Znajdziesz na choince, 47) „Funkcja” aktora w sztuce, 49) Dobre na mrozy, 51) Poz-bawiona rumieńców, 53) Słacz, mocz, 55) Podsta-wa, fundament, 57) Punktu-alnie, w porę, 59) Zmoczone,

60) Grecka bogini mądrości, 61) Specjał, 64) Czterdzieści arów, 65) Ukradł ser krukowi, 68) Pracuje w redakcji.

Pionowo: 1) Obce słowo dla nieuka, 2) Odcisk, trop, 4) Pyszałek, samolub, 5) Sióstra i żona Ozyrysa, 8) Kur-suje między piętami, 9) Starożytne miasto w Epirze z wyrocznią Zeusa, 11) Chroni port od naporu fal, 12) Stoki, 13) Postać niewieścia z trylogii Sienkiewicza, 14) Jest wśród liter greckich, 16) Sztuka kreślenia map geograficznych, 18) Ssak o-wadożerny, 19) Gatunek so-koła używanego dawniej do polowania, 20) Kąt zabity deskami od świata, 21) Pisał o nim Szolochow, 23) Notu-ja stan pogody, 24) Odnowie-nie, odświeżenie, 25) Nie każdy wygrywa, 27) „Bo-cian” afrykański, 29) Może być fizyczna lub moralna, 32) Pożywnie fruwających „włóknarzy”, 34) Jest na Wyspach Hawajskich lub w biżuterii kobiecej, 40) Szu-kaj wśród imion żeńskich, 41) Wczesna, 43) Radziecki



LENGREN



— Zaprosili go ze względu na choinkę.



— To jest remanent z roku 1830...

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 118, tel. 805-05.

Zakłady Wkłódnokowe i Inżynierskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 708. Papier rotogr. V.80—82 cm — 5-B-40835 podpisano do druku 18.12.54 r.

Z HERAKLITEM W SZCZECINIE

Dokończenie ze str. 19

— odpowiedź miała brzmieć: „Podział Polski na dzielnice przez króla Bolesława Krzywoustego”. Inne pytanie: „Najklasycystyczniejszy, współczesny przykład miłości bez wzajemności?” — fortepian podpowiadał melodią: „Ami go home” — odpowiedź winna była brzmieć: „Miłość Amerykanów do Europy”.

Na przedstawieniu, na którym byliśmy, do konkursu zgłosiła się młoda dziewczyna, oświadczając, że jest studentką na II roku historii. Sądząc jednak po jej odpowiedziach, zdałaby się raczej na kolek w pierwszym lepszym płocie. Ale sytuację ratowała szczecińska publiczność, która chórem odpowiadała za egzaminowaną.

Doskonała impreza szczecińska powinna być rozpowszechniona na całą Polskę. O ile, naturalnie, publiczność w innych miastach okaże się równie bezpośrednia, pełna poczucia humoru i wykształcona, jak w Szczecinie.

WSZYSTKO DLA PAŃ!

Od każdego tematu wolno zrobić dygresję, cóż dopiero dla pięknej kobiety, w dodatku bardzo zdolnej. A tak się złożyło, że w Szczecinie, w owej imprezie „Bawmy się razem”, usłyszałem po raz pierwszy piosenkarkę Marię Koterbską. To rzadki talent w swym rodzaju, tym cenniejszy, że w chwili obecnej możemy mówić u nas tylko o dwóch i popularnych i wartościowych piosenkarkach: Marcie Mirskiej i właśnie Koterbskiej. Gdy jednak Mirska nawiązuje do stylu niektórych piosenkarzek francuskich, Koterbska jest w jakiś świeży i miły sposób oryginalna. Jest doskonale muzykalna, ma wspaniałą dykcję i nieporównane wyczuwanie rytmu. Nadto w jej stylu interpretacyjnym nie ma ani francuskiego czy włoskiego sentymentalizmu, ani anglosaskiej „namiętności” (pies by ją draapał!). Od piosenek Koterbskiej bije tylko bardzo szczerą, ciepłą radość. Niemniej zdolna niewiasta nie nabyła jeszcze, zdaje się, dobrego smaku. Dlatego prościutką piosenkę raptem potrafi zakończyć bezsensownym „brekiem” amerykańskim, a i repertuar ma słaby. Więc namawiam, kogo trzeba, żeby się zającą tą Koterbską, bo warto!

CIEŃ HERAKLITA

Co powiedziawszy, wróćmy do Szczecina, aby się z nim... pożegnać. Trzy dni, to było mało, iżby się miastem nacieszyć, lecz dosyć na — ogromne zdziwienie. Więc tak zupełnie inny jest ten Szczecin od złej legendy pokutującej jeszcze wśród wielu ludzi wewnątrz kraju...

Kiedy staliśmy ze Swinarskim pod szczecińskim zamkiem i patrzyliśmy z góry na rozległe, sięgające aż po horyzont zabudowania i sieć kanałów portowych, zdało mi się, że nie jesteśmy sami. Że obok nas tkwi cień starego greckiego filozofa Heraklita i szepce: „panta rhei” — wszystko płynie, wszystko się zmienia.

To prawda, że Szczecin był dziką rubieżą Rzeczypospolitej. Ale tymczasem minęło bez mała lat dziesięć. Starzy szabrownicy wyjechali, młodzież pożeniła się i osiadła tutaj na swoim. Dziś większość obywateli Szczecina liczy poniżej lat 35, skąd dalsza konsekwencja: Szczecin jest miastem o największym przyroście naturalnym w kraju. A kto zakłada rodzinę i ma dzieci, ten staje się wrogiem chuligaństwa, nieporządku, dojułkowania w gospodarce terenem.

Za czasów niemieckich nie było w Szczecinie ani jednej wyższej uczelni. Dziś są cztery, które co roku wypuszczają nowe setki nowej szczecińskiej inteligencji, by wraść w glebę Pomorza silnymi polskimi korzeniami.

To nie wszystkich raduje! Za Łabą działają radiostacje, opluwające polski Szczecin jadem nienawiści i pogróżkami odwetu. Radiostacje owe słyszą tutaj wyraźnie, więc trzeba, żeby głos kraju był silniejszy.

Musimy zapomnieć o złej wizji Szczecina bezpośrednio po wojnie, a pamiętać o takim, jaki jest dzisiaj. I na ten piękny, rozkwitający, bezcenny Szczecin niech będą zwrócone czujne, potężne oczy narodu.

JERZY WALDORFF



NIE TYLKO DLA KOBIET!

Wszystkim CZYTELNIKOM-MĘŻCZYZNOM — serdeczne podziękowania za dowody pamięci i zainteresowania. Przesyłamy życzenia!

P.S. Papierosy „Travel” — eksportowe, bułgarskie. Mignęły w warszawskich „Delikatesach”. Uwiecznione na zdjęciu w sensie pamiątkowym.

ŚWIĘTA, ŚWIĘTA

W ZAKOPANEM spadł śnieg. Wydaje się, że ten fakt nie ma nic wspólnego ze świętami w naszym domu. Wreć przeciwnie. Nie trzeba być nawet dobrym obserwatorem, żeby zauważyć, jak moje młodsze dziecko tęsknie ogląda narty... Oczywiście krępuje się powiedzieć otwarcie, że płonie chęcią wyskoczenia na kurs narciarski w Tatry. Ten dziesięciodniowy wyjazd oznaczałby rozstanie na święta. Franka liczy się z moimi matczynymi uczuciami. — Nonsens taki wyjazd — powiedziała nasza stara ciotka — dzieci też muszą poświęcić coś dla rodziców. Dziewczeta powinny szanować tradycję... — Cóż — odpowiadam — właśnie przez szacunek dla tradycji Franka wyjedzie na święta. Miałam sama wyrozumiałość matkę, Franka w przyszłości też musi być wyrozumiałą matką... To właśnie uważam za tradycję obowiązującą w naszej rodzinie...

Jedno z moich dzieci zarzuca mieszkanie rysztunem narciarskim, drugie gromadzi wycinki poezji Gałczyńskiego. — Nie lubię gór — wyznaje Alina — wolę doliny. Z doliny wszystko wydaje się wielkie, ze szczytów gór — wszystko jest małe...

Pracujemy. Odczuwamy zmęczenie. To naturalne. Jeszcze niektóre z nas pogłębiły to zmęczenie tradycyjnymi porządkami świątecznymi. Podjęły niezliczone zobowiązania towarzyskie.

Odpocząć — to jeden z głównych punktów naszego planu świątecznego. Nie może być mowy o dobrym nastroju w wesole dni świąteczne, jeżeli nie znajdziemy chociaż jednej godziny na lekturę, na samotny spacer, na ową godzinę odpoczynku, nazwaną SAMA DLA SIEBIE.

Człowiek wypoczęty szuka towarzystwa. Towarzystwa człowieka pogodnego — poszukują inni. Witają go z uczuciem ulgi — a nie: żegnają z uczuciem ulgi. Nad tą różnicą warto się zastanowić.

Annie Ziobrowska

Nakładem Wydawnictwa „Sztuka” ukazały się dwa kalendarze artystyczne — pierwszy pod tytułem „Sztuka” — omawia najważniejsze wydarzenia z dziedziny plastyki Polski Ludowej, podając szereg związanych z tym ważnych dat. Jest to kalendarz kieszonkowy, oprawny w płótno; zawiera 12 reprodukcji obrazów malarzy polskich. Kosztuje 12 zł.

Kalendarz drugi, pod nazwą „Zabytki architektury w Polsce”, pokazuje najpiękniejsze nasze budowle w 53 fotografiach pocztówkowych, które można po wycięciu użytkować do korespondencji. Jest to kalendarz biurowy w cenie 15 zł.

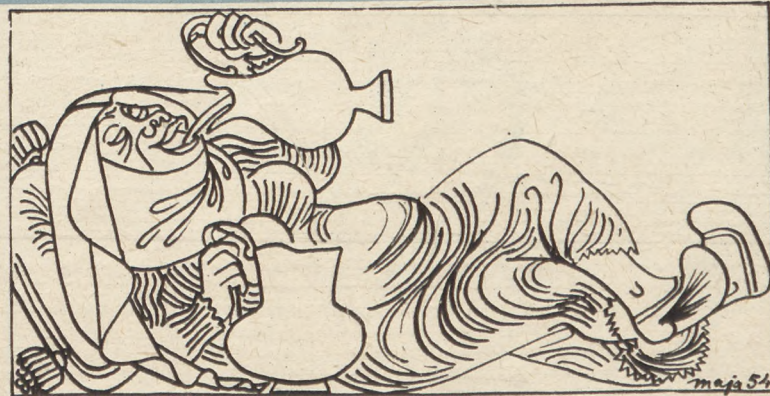
Oba kalendarze są do nabycia w sklepach CPLiA.

UWAGA CZYTELNICY!

Następny nr tygodnika ilustrowanego „ŚWIAT”

ukaze się z datą 9 stycznia 1955

PATRZ STRONA 32



NAGROBEK ROZYNIE

Tu syta wieku leży Rozyna;
Lecz tylko wieku, ale nie wina.
Nie stoi o mszę ani o dzwony,
Wolalaby dzban piwa zielony.

Z wyboru fraszek Jana Kochanowskiego, który z ilustracjami Maji Berezowskiej ukaze się w 1955 r. nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.



DO ANAKREONTA

Anakreon, zdrajca stary,
Nie masz w swym łotrostwie
miary!
Wszystko pijesz, a miłujesz
I mnie przy sobie zepsujesz.
Już cię moje strony znają

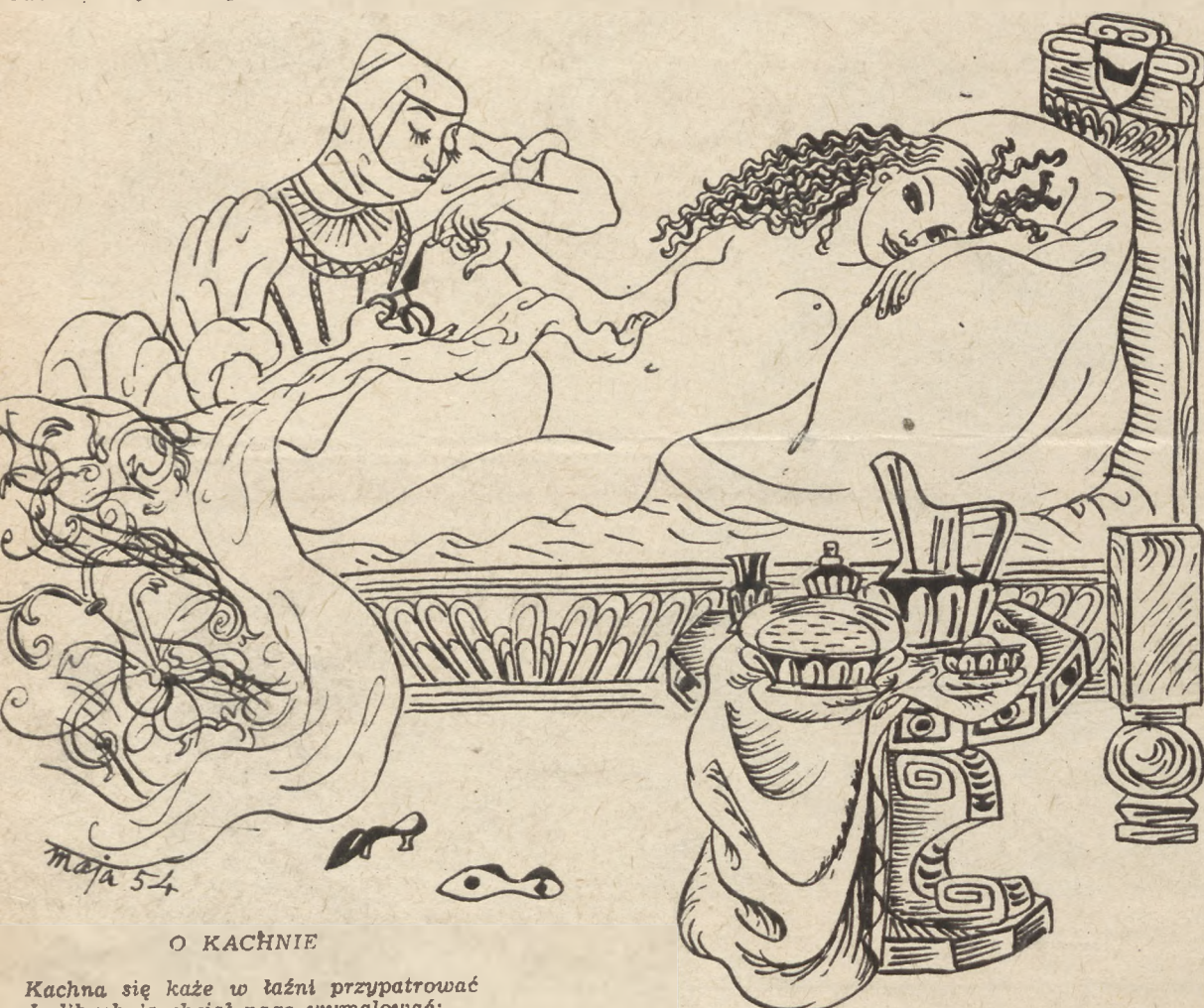
I na biesiadach śpiewają;
Dobra myśl nigdy bez ciebie
A tak, słyszyszli co w niebie,
Śmiej się: bo twe imię dawne
I dziś między ludźmi sławne.

Królowi równie, a jeśli się godzi,
Mówić co więcej, i króla przechodzi,
Anno, kto, siedząc prawie przeciw tobie,
Przypatruje się coraz twojej osobie
I słucha twego śmiechu przyjemnego,
Co wszystkich zmysłów zbawia mię, smutnego.



DO ANNY

Bo skoro namniej wzrok skłonię ku tobie,
Słowa nie mogą domagać się w sobie;
Język mi zmiłknie, płomień się w mię kradnie,
W uszu mi piszczy, noc przed oczy padnie,
Pot przez mię bije, drzę wszytek i bladnę,
Tylko że martwy przed tobą nie padnę.



O KACHNIE

Kachna się kąże w łaźni przypatrować
Jeslibych ją chciał nago wymalować;
A ja powiadam: gdzie nas dwoje siedzie,
Tam pewna łaźnia, mówię, łaźnia będzie.

Z ANAKREONTA

Próżno się mam odejmować,
Widzę, że muszę miłować.
Miłość mi dawno radziła,

Lecz ja, jako prawy wita,
Nie chciałem słuchać jej rady,
Aż nama przyszło do zwady.
Bo sajdak z łukiem porwała,
A mnie na rękę wyzwała.
Ja też, jako Hektor zasię,
Wziąwszy karacnę na się,
Tarcz i szablę jako brzytwę,
Stoczyłem z Miłością bitwę.
Ona ku mnie ciągnie rogi,
A ja co nadalej w nogi.
A gdy wszystkich strzał pozbyła,
Sama się w belt obróciła
I prosto mi w serce wpadła,
A mnie zaraz moc odpadła.
Próżno tedy noszę zbroję,
Próżno za pawężą stoję:
Bo kto mnie na bić na górze,
Kiedy nieprzyjaciół w skórze?



JAN KOCHANOWSKI FRASZKI

Rysunki MAJI BEREZOWSKIEJ

NA WIENIEC

Ten wianeczek ruciany piękna Greta wita,
Aby weń nadobnego Klimka przystroiła.
A jako wieniec tak się miłość jej zieleni,
A chocia wieniec zwiędnie, miłość się nie zmieni.



DO PANIEJ

Co usty mówisz, byś w sercu myśliła,
Barzo byś mię tym, pani, zniewoliła;
Ale kiedy mię swym miłym mianujesz,
Podobno dawnym zwycięzcom folgujesz.

